



3
w zabek
czesani



8-9
koguty iaj
nie niosa



11
samostój
czyli 6X„S”



12
Borynowie
rolnicy

KONTAKTY

ŁOMŻYNSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

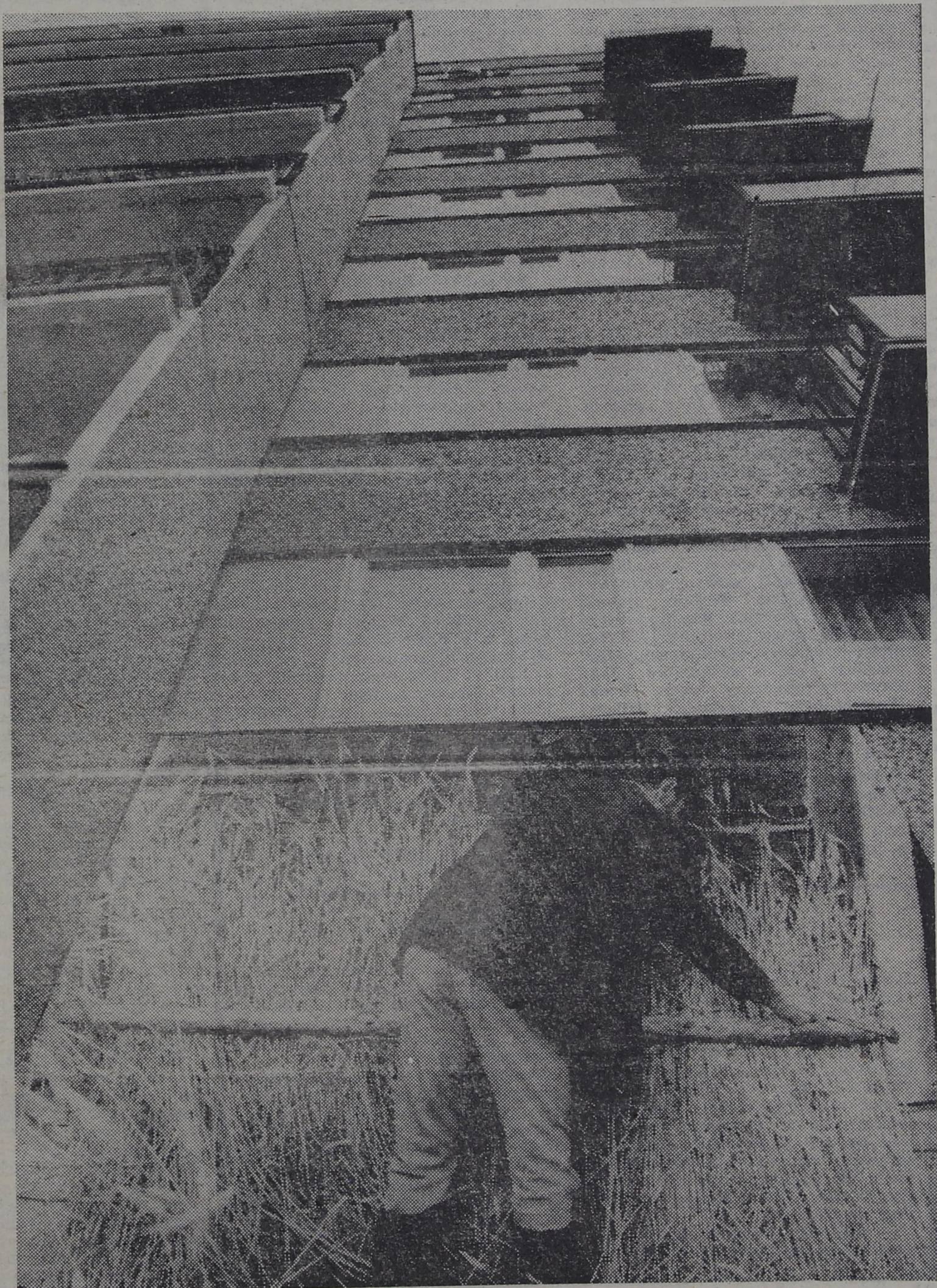
46

(73)

KONTAKTY

22.XI.1981

Cena 6 zł



Fot. GABOR LORINCZY

lokalny

orzek

DANUTA
WRONISZEWSKA

z wilczym
biletem

STR. 6-7

ogacanie

każdy
mówi
w swoją
stronę

(Zapis zebrania organizacji zakładowej PZPR w Zakładach Płyt Wiórowych w Grajewie)

GŁOS WPROWADZAJĄCY: Komitet Zakładowy proponuje następujące tematy do przedyskutowania na dzisiejszym — w dniu 6 XI br. — zebraniu: 1) Jakże najpilniejsze zadania w najbliższym okresie winien rozpatrzyć Komitet Wojewódzki? 2) Na ile, w opinii podstawowych organizacji partyjnych, realizują statutowe zadania organy wykonawcze Komitetu Wojewódzkiego, tzn. I sekretarz, sekretariat, egzekutywa? 3) Jak skutecznie aktywizować, dyscyplinować członków partii i podstawowe organizacje partyjne dla wdrożenia uchwał IX Zjazdu PZPR? 4) Jakie formy pracy partyjnej byłyby najbardziej właściwe aktualnej sytuacji społeczno-politycznej kraju i województwa? 5) Czy członek partii może oddziaływać na swoich kolegów w zakładzie pracy i środowisku, na wzrost dyscypliny społecznej i produkcyjnej? Jeśli tak, to czemu to oddziaływanie w wielu przypadkach jest tak mało skuteczne? 6) Jakie są przyczyny i motywacje tak dużej rezygnacji z przynależności do partii? 7) Jak powinni zachowywać się członkowie partii wobec politycznych zamiarów niektórych członków kierownictwa i działaczy NSZZ „Solidarność”? 8) Jaką rolę winny spełniać podstawowe organizacje partyjne i członkowie partii w realizacji rządowego programu wyjścia z kryzysu? 9) Jakie kierunki i formy szkolenia partyjnego byłyby dla podstawowych organizacji partyjnych najważniejsze w aktualnej sytuacji społeczno-politycznej? 10) Propozycje dotyczące funkcjonowania i obiegu informacji partyjnej 11) Jakże podejmować działania w celu utrzymania sojuszu robotniczo-chłopskiego? 12) Jak należy ocenić funkcjonowanie administracji szczebla wojewódzkiego i podstawowego w aktualnej sytuacji? 13) Co usprawnić w systemie reglamentacji województwa?”

GŁOS I: — Chciałbym powiedzieć kilka słów na temat frekwencji i dyscypliny partyjnej, jaka jest w naszym zakładzie. Myśmy mówili o tym, że nie odbyło się zebranie w pionie transportu i zaopatrzenia, a w pionie produkcji te wyborcze trzy razy zwoływano, żeby uzyskać quorum, i quorum zostało uzyskane na siłę: przez skreślenie i zawieszenie członków, którzy nie przychodzili na kilka kolejnych zebrań.

CIĄG DALSZY NA STR. 4-5

Z CYKLU: SZANUJMY WIEDZĘ NASZYCH PRZODKÓW

JAK REALIZOWANA JEST UCHWAŁA III Wojewódzkiej Konferencji Sprawodawczo-Wyborczej PZPR, a w szczególności ustalenia dotyczące działalności ideologicznej i organizatorskiej? Próbę odpowiedzi na to pytanie podjęli dyskutanci na rejonowym spotkaniu delegatów z organizacji partyjnej w Łomży. Głosy:

O doskonaleniu form i metod sprawowania przez partię kierowniczej roli: — W okresie zagrożenia bytu narodowego rośnie przekonanie społeczne, że tylko partia, przy współdziałaniu z sojusznikami — ZSL, SD, organizacjami społeczno-zawodowymi — może wyprowadzić kraj z kryzysu. Nakłada to jednak zwiększone obowiązki na jej członków. Niestety w praktyce spotyka się często postawy wyczekujące, bierność (Włodzimierz Michalak — I sekretarz KW PZPR). Powinniśmy zrobić wszystko, by uwiarygodnić nasze działania: konieczna jest na przykład weryfikacja kadry kierowniczej powoływanej nomenklaturą (Michał Gajos). Także — błyskawiczne i zdecydowane reagowanie na problemy i konflikty sygnalizowane przez poszczególne środowiska. Na przykład natychmiast trzeba ustosunkować się do wytrwałości, a bezskutecznych starań łomżyńskiego rzemiosła o oderwanie się od Izby Rzemieślniczej w Białymstoku; nakazać podjęcie przez władze administracyjne decyzji — bez wyczekiwania na instrukcje — w sprawie ujednolicenia reglamentacji. Czy jesteśmy bierni? Przecież wystarczyłoby przejrzyć wnioski zgłoszone przez nasze organizacje jeszcze przed VIII Zjazdem, z których większość jest aktualna. W czym tkwi przyczyna naszej bezwładności: nie obarczamy odpowiedzialnością za realizację postanowień instancji i organizacji partyjnych konkretnych osób, nie egzekwujemy terminów (Jerzy Szymański).

O ciągłej trosce o jakość szeregow partyjnych: — W ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy wojewódzka organizacja zmniejszyła się o 5065 członków, a przyjęto 27. Nie było wprowadzić przypadku usunięcia z szeregow PZPR za działalność niezgodną ze statutem, ale mało skuteczne są zatem metody pozyskiwania ludzi, zwłaszcza młodzieży.

O radykalnych zmianach systemu informacji wewnątrzpartyjnej: — Rzeczywiście informacja ta poprawiła się, ale spotykamy się na przykład z tym, że biuletyny trafiają tylko do sekretarzy, a nie do szeregowych członków organizacji. (W. Michalak). Po co mamy w Komitecie Wojewódzkim Wydział Pracy Ideowo-Wychowawczej, gdy potrzebny jest Wydział Informacji? (Waldemar Dąbrowski). Dlaczego etatowy aktyw partyjny nie wyszedł w dniu ostatniego strajku do zakładów, do towarzyszy? Chyba po to też było w tym dniu Plenum KC, by członkowie KC nie mogli być wśród załóg (Jerzy Piorunek).

NIEZWYKŁE UROCZYŚCIE obchodziła Łomża 63 rocznicę odzyskania niepodległości. W następnym numerze zamieścimy fotoreportaż Gabora Lőrinczego z tej imprezy, zorganizowanej przez Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej, NSZZ „Solidarność” i Komendę Hufca ZHP.

PRZED IX NADZWYCZAJNYM KONGRESEM Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego odbyła się 12 listopada narada aktywów wojewódzkiego z udziałem doc. dr Andrzeja Zakrzewskiego z Zakładu Historii Ruchu Ludowego NK ZSL w Warszawie. Dyskutowano krytycznie nad projektem podstawowych dokumentów Stronnictwa: Programu, Statutu i Deklaracji Ideowej. Program nie uwzględnił złożoności sytuacji, w jakiej znajduje się kraj. W dokumentach brak samookreślenia Stronnictwa, zajęcia wyraźnego stanowiska wobec polityki międzynarodowej, instytucji referendum, „Solidarności” robotniczej i wiejskiej. Uczestnicy narady podkreślali, iż Stronnictwo traci swój autorytet, ponieważ nie zabiera głosu w ważnych dla kraju aktualnych problemach, nie potrafi przedstawić własnej polityki i zająć odrębnego stanowiska. W społeczeństwie zaś ciągle dominuje pogląd, że głównym zadaniem ZSL-u jest organizowanie żywności.

ROLNIK MUSI MIEĆ poczucie stabilizacji — mówili przedstawiciele najniższego szczebla administracji na sobotnim spotkaniu (14 X 81 r.) w Kolnie. Rejonowa narada, na

którą zjechało 150 sołtysów z gmin Kolno, Grabowo, Stawiski, Turośl — poświęcona była aktualnej sytuacji społeczno-politycznej. Najdłużej dyskutowali rolnicy nad Uchwałą 229 Rady Ministrów w sprawie sprzedaży wianowej. Panowała zgodność opinii, że stosunek wymiany jeden do pięciu jest za wysoki. O melioracjach i drogach mówili przedstawiciele gmin: Turośl i Stawiski. Czesław Wróblewski ze wsi Lebkki z gminy Grabowo wypowiadał się w sprawach stabilizacji cen. Sołtys Franciszek Mariak, ze wsi Budy Kozłowska, zapytał: — Dlaczego tak się dzieje, że doprowadzamy papierosy i tytoń z zagranicy, a u nas tytoń się marnuje? W punktach skupu przyjmuje się wszystko od jednych, a od innych ani listka. Jeden rolnik nie musi się martwić, a innemu tabaka niszczy. Mówiono również o coraz powszechniejszych antagonizmach między miastem a wsią. Miasto wypomina wsi, że sprzedaje po paskarskich cenach żywność, a resztki towarów wykupuje ze sklepów. Podobna rejonowa narada sołtysów odbyła się 13 listopada w Zambrowie.

W PAŹDZIERNIKU ZNOW SPADŁ SKUPU żywności. Rolnicy dostarczyli o 64,2 procent mniej świń, a bydła o 68,7 procent w porównaniu do tego samego okresu roku ubiegłego. W wolnej sprzedaży ceny prosiły się wysokie, a ich podaż nadal niska. Cena jednego prosięcia wahała się w granicach od 3 do 3,5 tys. zł. Natomiast krowa kosztuje obecnie 40—60 tysięcy złotych.

NA NARADZIE KOORDYNACYJNEJ Prezydium Gminnej Rady Narodowej w Grabowie, z udziałem przedstawicieli Gminnego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych, Solidarności Wiejskiej i rolników indywidualnych, ustalono zasady rozdania węgla. I tak rolnicy, którzy odstawili rocznie ponad 100 tunców mogą nabyć 10 ton węgla, pozostali zaś — tylko 4 tony tego opału rocznie.

OSIEDLE POŁUDNIE II i IV w Łomży aktem notarialnym w dniu 16 XI 81 przejęła pod swój społeczny zarząd Spółdzielnia Mieszkaniowa „Perspektywa”, która powstała w kwietniu tego roku.

DOM ŚRODOWISK TWÓRCZYCH otworzył 15 XI br. swoje podpiwniczenia, które mieszczą m.in. bufet z wyszynkiem oraz wysokie stołki. Można tam było, przedyskutować — wyeksponowany w sali wystawowej — dorobek twórcy Wiesława Sielskiego w postaci rysunków i medali (niestety mocno przytłumionych do tła). Medale cechują precyzyjny rysunek, bogata faktura i niesztafpowe kształty. Wśród nich — dublety egzemplarzy, które znajdują się w posiadaniu Jana Pawła II (wreżony przez Lecha Wałęsę) oraz Czesława Miłosza (przekazany osobiście przez autora).

NA WALNYM ZGROMADZENIU pierwszego w Polsce Społecznego Stowarzyszenia Prasoznawczego „STOPKA”, w dniu 10 listopada, jego założyciele dokonali wyboru naczelnych władz. W tajnym głoso-

waniu prezesem Rady „STOPKI” został Stanisław Zagórski — redaktor naczelny „Kontaktów”, jego zastępcami: Urszula Kaźmierska — wicedyrektor Wojewódzkiego Domu Kultury w Łomży i Henryk Gała — zastępca dyrektora Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej. Funkcję sekretarza Stowarzyszenia powierzono jednogłośnie Marii Bauchrowicz-Tockiej, a redagowanie wydawnictwa — Zbigniewowi Henczelowi. Wybrano również Komisję Rewizyjną i Sąd Koleżeńcki.

KŁUB DYSKUSYJNY „Starcia” przy redakcji „Kontaktów” wspólnie z WOKI przygotowuje 27 listopada dyskusję panelową na temat: „Tolerancja współczesność”. Prowadzić ją będzie redaktor naczelny miesięcznika „Prasa polska”, Klemens Krzyżagórski. Po dyskusji przewiduje się m.in. projekcję filmu dokumentalnego pt. „Chłopi-81”.

JUŻ PO RAZ TRZECI ukazał się Rocznik Statystyczny województwa łomżyńskiego. O sytuacji społecznej gospodarczej, kulturalnej mówią dane zgromadzone w 17 działach. — Zaskoczą pewnie niektórych Czytelników liczby, obrazujące sytuację handlową. Wynika z nich, że nie było tak źle z zaopatrzeniem województwa w niektóre towary, choć przeżyły temu półki sklepów. — powiedział Jan Okoński, przewodniczący zespołu, który redagował rocznik.

„PUSZCZA ZIELONA Bory Ostrołęckie” Zofii Niedziałkowskiej ukazała się nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. Do obszernej literatury regionalnej należy dołączyć i tę syntetyczną pracę omawiającą dzieje Kurpiów. Naszych Czytelników zainteresuje zapewne rozdział poświęcony stosunkom między Ostrołęką i jej barami a Ziemią Łomżyńską, przybliży on również postać i działalność Adama Chętnika.

REGLAMETACJA. W związku z licznymi pytaniami Czytelników m.in. jedenastu absyentów z gminy Wizna, informujemy, iż w przyszłym tygodniu raz jeszcze opublikujemy obowiązujące od 1 listopada zasady reglamentacji. Do tego czasu Urząd Wojewódzki w Łomży otrzyma wyjaśnienie Ministerstwa Handlu i Usług, dotyczące wątpliwości zgłoszonych również przez klientów.

WYJAŚNIENIE. Po relacji ze strajku pt. „W samo południe” zamieszczonej w nr 45/81 nadeszło do redakcji kilka listów. Urząd Pocztowo-Komunikacyjny w Sokolach wyjaśnia, że „była wywieszona flaga narodowa na znak poparcia strajku, natomiast załoga pracowała w pełnym składzie”. Wydział Organizacyjny KW PZPR w Łomży koryguje terenowy meldunek „W dniu 28 X 81 r. strajkowała administracja Rejonu Energetycznego w Wysokiem Mazowieckim, a nie OZTiMD”. (Tę samą wiadomość prosił o oburzeniem Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność” przy Okręgowym Zakładzie Transportu i Maszyn Drogowych w Wysokiem Mazowieckim).

CIĄG DALSZY NA STR. 15

PUNKT WIDZENIA

wpraw przez argumenty

Ciągle nie udaje nam się wygłazić i ukrocić gaworzenia „na okrągło”. Jeśli na forum egzekucyjnym Komitetu Wojewódzkiego pada zarzut pod adresem przedstawicieli prawa, iż zdarzają się przypadki wielomiesięcznej przewlekłości w postępowaniu sądowym, odpowiedzią nie może być szczupłość kadry palestranckiej („wyeksploatowanej” i słaby nabór) czy wzrost „warcholstwa społecznego”, bo w tym kontekście trzeba byłoby spytać o przyczynę jej łatwego się pozbywania (ostatnio — prokuratora rejonowego), a wobec drugiego członka wyjaśnienia prokuratora wojewódzkiego, Jerzego Kubraka, trzeba się posłużyć jego własnym stwierdzeniem: „Mimo napiętej sytuacji społeczno-politycznej nie było w województwie poważniejszych przestępstw noszących cechy anarchii”.

Ilość przestępstw w ub. r. wzrosła, to fakt. Nasiliła się znacznie speculacja, powiększyła się klientela lokalni gastronomiczni, która nocą wylewała się na ulice miast województwa i dawała upust, sprężonej alkoholowej energii. Społeczeństwo pokryło się w domach, a gdy przypadkiem obserwuje jakies zajście, skłonne jest raczej odbić milicji zatrzymanego przestępcę niż jego pomoc. A jakże ma być inaczej, skoro prawo jest łaskawe i za pobicie funkcjonariusza wymierza zaledwie klapsa, nie ma sankcji na dozorców mienia społecznego, a młodocianego włamywacza — z braku innych możliwości — zsyła do szkoły nauki zawodu, czyli domu poprawczego, skąd wychodzi jako dobrze wykształcony przestępca? Jak można skutecznie zapobiegać incydentom, jeśli działania kończą się powiadomieniem o nich załogi pracy, bez troski o konsekwencje wobec winnego?

Komendant KW MO, plk. Stefan Sokolowski, nie tylko widzi przyszłościowe „cudze pod łasem”, ale również pośpiechu swoich ludzi i — jak trzeba — wyciąga ostre konsekwencje. To drobniaczko, że popyły mu się statystyki i w biuletynach wewnętrznych jego służby wypadają na nie najlepszym miejscu. Po prostu nie przecenia porażek, lecz przekazuje je do wiadomości swoich zwierzchników zgodnie z prawdą, przy czym nie próbuje wzruszać nikogo niedobrem kadrowym, brakiem w województwie izby wytrzeźwień, faktem rozrzużenia po mieście wydziałów Komendy Wojewódzkiej itd. Postępowanie przygotowawcze milicji łomżyńska zamyka okresem jednego miesiąca, w sytuacjach bardziej skomplikowanych — dwóch. Ale długotrwały tok dochodzenia prokuratora rozmyśla jej efekty pracy. W rezultacie podejrzany nie pamięta już przyczyny, która przywiodła go przed oblicze sądu. Jedynie tryb postępowania sądowego w przypadku spekulacji (dzięki dobrej ustawie), a także szybkości działania Kolegium ds. Wykroczeń w sprawach przestępczości nieletnich, sprawnie finalizują wysiłek milicji, która przecież ma obecnie mniej sojuszników w społeczeństwie niż Prokuratura, a musi w nim działać fizycznie, nie zaś korespondencyjnie.

Oczywiście, są takie dziedziny życia, które wymagają od zaraz większej uwagi MO, co podniósł na egzekutywie (10 XI br.) Józef Mierzejewski. Otóż więcej skuteczności wymaga walka z marnotrawstwem artykułów żywnościowych (choć nie tylko: materiały budowlane są również na wagę złota), częstych patroli potrzebne osiedle Południe, a dla ochrony zdrowia i życia mieszkańców należałoby znieść podsklepowe „piłanie” piwa i taniego wina.

Rzeczna statystyka przedstawiona przez KW MO nie ukryła faktu, że w niektórych kategoriach przestępstw co drugi sprawca unika odpowiedzialności karnej, ale w interesie funkcjonariuszy (jeśli chcą odzyskać zaufanie społeczne) jest zajęcie się — dla poprawy samopoczucia obywateli — nawet drobnymi włamaniami do piwnic czy samochodów. Ta oznaka troski najlepiej podziałaby na zniechęconych do „pana władzy” mieszkańców i poszerzyłaby grono jego sojuszników lepiej niż — najbardziej działające na wyobraźnię i namiętność — aniele.

STEFANIA HENCZELOWA

pytanie drażliwe

— Dlaczego mieszkańcy pozałomżyńskich gmin nie mogą kupować towarów reglamentowanych na terenie Łomży? Szczególnie dotyczy to proszku do prania i mydła?

ZYGMUNT MAZIŃSKI, dyrektor Wydziału Handlu i Usług Urzędu Wojewódzkiego: — Decyzję taką wydał prawdopodobnie prezydent. Ostatecznie, co ja mogę mieć do prezydenta? Od listopada wzięliśmy sprawę w swoje ręce i podzieliśmy towar do jednostek handlu według przydziałów. Teraz można spodziewać się poprawy.

— Ale się przypadki przysłówiowego posyłania ludzi od Annasza do

Kaifasza. Na przykład mieszkańcy gminy Szumowo jadą do Łomży, w Łomży kieruje się ich do Zambrowa, stamtąd zaś do Szumowa. I kółko się zamyka, bo tam proszków i mydła brak.

Z. MAZIŃSKI: — To jest w ogóle granda. Bo wiadomo jak do tej pory było. Zakazy i nakazy, każdy swoje wydawał. Ale wzięliśmy się za to i w listopadzie mieszkańiec gminy Szumowo, czy innej, będzie mógł kupić u siebie. Kłopot nam tylko sprawiają opakowania proszku, które są różne od przydziałów. Z tym niestety nic nie możemy zrobić.

myśl z atestem

Wszystko, co powstaje, jakiegokolwiek jest rodzaju, ma okres wzrostu, określone dni istnienia, a następnie zaczyna się psuć... Dotyczy to nie tylko poszczególnych ludzi, ale również miast, królestw i religii. (Giulio Cesare Vanini)

zdanie tygodnia

Miałem swoje zdanie wczoraj, dzisiaj go nie mam (Kolega redakcyjny)

Z przedstawicielami ZSMP — przewodniczącym Zarządu Wojewódzkiego, Henrykiem Gryko; wiceprzewodniczącym Romanem Szmytem; szefem Zarządu Miejskiego w Łomży, Romanem Englerem i Zarządu Miejsko-Gminnego w Wysokim Mazowieckiem, Markiem Skarżyńskim oraz Barbarą Bartosik, pracownicą Przedsiębiorstwa Przemysłu Spożywczego w Łomży i Bożeną Babińską z Ośrodka Kształcenia Zawodowego rozmawiają: Alicja Zagórska i Władysław Tocki.

— Widzi się was w krawatach, garniturach, praca od godziny do godziny, aktówka, samochód do dyspozycji: urzędnicy.

ROMAN SZMYT: — Mocno powiedziane! Tyle, że kryje się w tym zarówno powierzchowna ocena jak i prowokacja: „krawatowi” działacze zdominowali organizację. A tak nie jest! Pełnimy funkcje czysto usługowe. O organizacji decydują ciała kolegialne i sami jej członkowie.

MAREK SKARŻYŃSKI: — Urzędujemy? Urzędnik załatwia interesantów. My natomiast organizujemy front spraw do załatwienia, ale nie jest to działanie biurokratyczne. Robimy coś w imieniu kogoś i z kimś — z młodzieżą i dla niej. Naszą pracę limituje nie określony czas i zakres czynności, lecz potrzeba.

HENRYK GRYKO: — Nigdy nie ceniło się u nas ludzi, którzy siedzieli w biurze. Dla mnie działacz to ten, który jest w zakładzie, na wsi; „do siebie” wpada z konieczności. Tak na marginesie: niemal codziennie są jakieś spotkania, na których wszyscy występują na gale — a my nie żyjemy w próżni.

— Przypisuje jednak, że nie jest to styl młodości. Także — język: „organizujemy front spraw”, „limituje potrzeba”, „załatwia interesantów”.

ROMAN SZMYT: — Nie wiem, czy to ważne, jak się ubieramy, mówimy. A skąd to się bierze? My niekiedy do „urzędniczenia” jesteśmy po prostu zmuszani. Bez pisma, pieczątki, formularza w urzędzie nie się dziś nie załatwi.

ROMAN ENGLER: — Dla mnie wygląd zewnętrzny nigdy nie stanowił o poziomie człowieka, jego wartości. Znalazłem się jednak kie-

dieżowego, przedstawiając warianty bezinwestycyjne i znowu: „rozumimy, ale...”. Teraz podjęliśmy sprawę burs. To skandal! Dwa tysiące uczniów mieszka w okropnych warunkach. Mamy koncepcję, konkretne propozycje i jak dotąd wszystko posuwa się wcale nie w kosmicznym tempie.

H. GRYKO: — A ja myślę, że jeśli do organizacji młodzieżowej przyniknęły dobre rozwiązania, struktury i wzorce z tzw. „dorosłości” — z partii czy administracji — to nie ma w tym nic złego.

— Immanentną cechą młodości jest jednak ekspansja; przenoszenie własnych celów, cech, a nie nastawienie na przyjmowanie i akceptację.

H. GRYKO: — Oczywiście! I uważam, przyjmując poprawę na ostatnie lata, że w znacznym stopniu nam się to udawało. Z drugiej strony, nie znam innej metody na odbycie plenum czy posiedzenia: musi być sala, stoły, prezydium.

— Bezruch ZSMP, oklapięcie działaczy, wynikało więc tylko z tego, że tkwili w takim, a nie innym systemie: inaczej nie było można. A może — po prostu z asekurancwa, konformizmu: niekonwencjonalnie zachowujący się działacz raczej nie mógł oczekiwać pójścia „w górę”.

H. GRYKO: — Nie wszyscy z nas przechodzili i przechodzą do aparatu partyjno-administracyjnego. A jeśli nawet ktoś tam trafiał, świadcząc to może tylko o tym, że właśnie u nas dorósł na tyle, iż mógł podjąć odpowiedzialną funkcję społeczną.

R. SZMYT: — Myślę, że powstało na ten temat wiele mitów, płytkich opinii.

— Może warto by sobie uświadomić ich źródło?

R. ENGLER: — Jak pokazywano naszą organizację? Akademickie, plenarne posiedzenia, dwie minuty w telewizji z uroczystego wręczenia legitymacji partyjnych. I to wszystko. Natomiast ani prasa, ani tym bardziej TV, nigdy nie zajęły się naszymi autentycznymi problemami.

H. GRYKO: — Gdy przechodził dziennikarz porozmawiać o organizacji, już od drzwi pytał: „konkret-

społecznymi, o upowszechnianie wartości moralnych? Przecież to są ideały, mogące przyciągnąć każdego!

— Co zatem, konkretnie, tracił młody człowiek nie należąc do was..

B. BARTOSIK: — Powiem raczej, co zyskałam. Przede wszystkim przyjaźni. Jestem tu zupełnie obca i gdybym ugrzęzła tylko w pracy, byłoby naprawdę smutnie. Nie mówiąc już o tym, że człowiek, który nie ma szerszego kontaktu z innymi, cofa się w rozwoju.

BOŻENA BABIŃSKA: — Uczę się w Ośrodku Doskonalenia Zawodowego, więc mogłem nie tylko jako Bożena poruszyć sprawę przekształcenia ośrodka w normalną szkołę. Poza tym każdy z nas ma problemy, z którymi trudno iść do nauczyciela lub najbliższych, a tu naprawdę można pogadać swobodnie.

H. GRYKO: — Czyż nie jest ogromną satysfakcją, iż ludzie, którzy kształtowali się w organizacji, są teraz bardzo dobrymi gospodarzami, przewodniczącymi rad narodowych, działaczami społecznymi..

M. SKARŻYŃSKI: — Jest tu też ujęcie dla pewnego temperamentu politycznego. Organizacja umożliwia mi prezentację tego co myślę, zmusza do zajmowania konkretnego stanowiska w wielu sprawach. Gdy byłem jeszcze w zakładzie pracy na pewno sam nie rozwiązałbym wielu spraw, ale mogliśmy to zrobić po

w ząbek czesani?

stworzeniu młodzieżowej brygady. I tak jest też w szkole, na wsi.

— A więc doszliśmy do modelu ZSMP, który z wielośrodowiskowości nie rezygnuje. Czy wierzyć, że możliwe jest stworzenie jednolitego programu dla wszystkich środowisk młodzieżowych.

R. SZMYT: — Myślę, że wcale nie ma potrzeby tworzenia monolitycznego programu, konieczne jest natomiast określenie wspólnych celów. Wówczas każde z tych środowisk — i tego się ZSMP dopraco-

zycję założenia klubu sportowego z prawdziwego zdarzenia. Boję się tylko niezdrowej rywalizacji, a nie stety, bywa i taka. Na przykład ZMW zaprasza członków zarządów kół ZSMP na narady, gdzie tłumaczy, że powinni zostawić wieś w spokoju; jedyną organizacją, która najlepiej załatwi wszystkie wiejskie problemy jest ZMW.

H. GRYKO: — Ja uważam tak: organizacja dopiero powstaje, ma dużo kłopotów, u nas trwa kampania wyborcza. Gdy nam i im odpadną te sprawy, znajdziemy czas, by wreszcie porządnie pogadać. Inna sprawa: może nie mają maszyny do pisania, powielacza, moglibyśmy im dać. Dziwi mnie, że nie chcą z tym do nas przyjść.

R. ENGLER: — Powiem górnolotnie: gdzie jest interes młodzieży, nie nas nie ma prawa dzielić. Niedawno zaproponowałem kolegom z ZMW, żeby nam pomogli w rozwiązywaniu sprawy internatów. Nie jest ona dla nich obojętna, ponieważ młodzież wiejska dojeżdża codziennie lub szuka sobie kąta na własną rękę. Jestem przekonany, że gdy będzie potrzeba, nie skończy się na samym popieraniu.

B. BARTOSIK: — W ogóle spokojna głowa! Wprawdzie młody człowiek może teraz „dostać pierdółka” od tej mnogości organizacji, ale na pewno się nie pogryziemy. Przyszedł do nas, na przykład, szef zakładowej „Solidarności” i prosił o pomoc w zorganizowaniu lodowiska w nieczynnym zbiorniku retencyjnym.

RAZEM: — I pomożemy!

— Więc łączyć was może wspólnota celów. Jakie z nich przed wojewódzką konferencją uważacie za najważniejsze?

H. GRYKO: — Powiem najpierw o przebiegu samej kampanii. Odeszło wprawdzie od nas trochę członków, ale masowego oddawania legitymacji nie przeżyliśmy.

— Może dlatego, że członkowie ZSMP często po prostu ich nie mieli..



dyś — w wytartych dżinsach i podniszczonej koszulce — przed obliczem pewnego dyrektora. Nie powiem, że od razu zostałem potraktowany poważnie.

— Nie chodzi nam dosłownie o takie czy inne portki, ale o styl bycia. Kryje się pod nim niejakoś, ułożenie chłopców „w ząbek czesanych”; stłamszenie tego, co naturalne dla młodości: niezgody na rutynę, świeżość spojrzenia, odwagi. A przecież ZSMP, jako źródło kadr partyjno-administracyjnych, mogłoby nie tylko — gdyby zachowało pokoleniową odrębność — kształtować własne środowisko, lecz pokusić się o młodzieżowe ożywienie zastanych, skostniałych schematów i struktur władzy. Czy nie zmarnowaliście tej szansy?

BARBARA BARTOSIK: — Za dużo przypisujemy samej młodzieży: jest buntownicza, chce zmieniać, walczyć ze złem, do wszystkiego się garnie. A właśnie młodych cechuje — widzę to w swoim zakładzie — niezwyklejszy „tumiwizm”. Owszem, to nie tylko ich wina: jeśli przez lata nie jest się w stanie niczego załatwić, przestaje się walić głową w mur.

R. SZMYT: — Struktury, w których funkcjonujemy i w jakie niekiedy z nas wchodzi, istnieją od dziesiątków lat. Jakiegokolwiek zmiany są niezwykle trudne.

R. ENGLER: — Zgadza się, iż w wielu momentach rzeczywiście byliśmy zbyt grzeczni, ułagadzeni. Wynikało z tego, że często władza przedstawiała mi tyle progów w załatwieniu tego czy tamtego, że w końcu jej wierzyłem. Już dwa lata temu pronowaliśmy np. rozwiązanie problemu przedszkoli, jak później „Solidarność”, ale było to „obiektywnie niemożliwe”. Od czterech lat domagamy się klubu mło-

nie, stary — ilu członków, ile czynów, a ile tych drzewek wsadziłeś”. Inne sprawy niewiele go obchodziły.

— Zgoda. Jednak we własnym środowisku wcale nie musieliście czekać, aż was pokaże telewizja lub lokalna prasa. Wystarczy działać, by to było widoczne.

M. SKARŻYŃSKI: — Rzeczywiście, tam gdzie była robota, opinie o ZSMP nie są wcale złe.

H. GRYKO: — Ale uświadommy sobie wreszcie, że nie jesteśmy tylko ko po to, by budować drogi, domy kultury, sadzić drzewka. Jest to jedno z zadań, aby sobie i innym życie ułatwić, ale nie jedyne. Barbara powiedziała, jaka w jej odczuciu jest młodzież. A co ją tak ukształtowało? Czy winna jest tylko organizacja? Kto uczył samodzielności myślenia, współdecydowania, współgospodarzenia w szkole, zakładzie? Pamiętajmy, co się działo w ostatnich latach w całym życiu społecznym.

— To wszystko może nawet brzmieć rozgrzeszające. Tyle że logiczniejsze jest rozumowanie odwrotne: jeśli istniałaby autentyczna, trafiająca z programem w aspiracje młodzieży organizacja, to każdy, widząc w niej oazę w tym „podłym świecie” szedłby tam, jak w dym.

H. GRYKO: — Przecież taki, zawierający dążenia młodych, program był. Od lat mówiliśmy o budownictwie mieszkaniowym, o sytuacji młodej rodziny, a te cele są każdemu młodemu bardzo bliskie.

— Nie o wszystkim, przynajmniej w przypadku młodzieży, decyduje „matéria”; był, jego zapewnienie.

H. GRYKO: — A czy nie mamy statutowo zapisanej walki o sprawiedliwość społeczną, o równe prawa dla wszystkich, wyrównanie różnic między poszczególnymi grupami

wuje — powinno dobrać takie formy i metody pracy, by były dla niego adekwatne.

M. SKARŻYŃSKI: — Za istnieniem wielośrodowiskowej organizacji przemawia choćby taki argument: ZMW może reprezentować interesy wsi, ZMD — młodej inteligencji, natomiast ZSMP, tworząc więź między tymi grupami, tworzy także jedność pokoleniową.

— Czy rzeczywiście FJN, „przywódcą całego narodu”, ZSMP — posiadające monopol na młodzież — doprowadziły naród do „jedności duchem”?

H. GRYKO: — Jeśli kiedyś mówiło się, że jedna ponadśrodowiskowa organizacja będzie najlepsza, to nie bądnijmy tacy przewrotni i nie mówmy, że nie ma ona już racji bytu.

— Czy mówiłeś to Ty, będąc wówczas w ZMW, czy Roman, były przewodniczący szkolnego ZMS; czy naprawdę mówiła to młodzież?

H. GRYKO: — Znowu wracamy do mitów. Doskonale pamiętam monopolizowanie młodzieżowych organizacji — wcale nie było tzw. odolnego buntu, mocnego i zdecydowanego. Dziś dopiero się twierdzi: „pomimo szerokiego protestu” itd. Były, owszem, głosy przeciwe, ale jednostkowe, odosobnione.

R. SZMYT: — Myślę, że nie ma o co kruszyć kopii: wielo- czy jednośrodowiskowa; ZMW czy ZSMP lub jeszcze coś innego. Prędzej czy później zbliży nas sprawy, których w pojedynkę rozwiązać się nie da. Już wyszliśmy z pierwszą propozycją współpracy nie tylko z ZMW, rzucając inicjatywę „Konta otwartych serc”.

M. SKARŻYŃSKI: — Wysokie Mazowieckie to miasto — gmina, gdzie istnieją ścisłe więzi z młodzieżą wiejską. Wysłaliśmy więc propo-

H. GRYKO: — No, były i takie przypadki, ale nie generalizujmy. W tej chwili wiemy, że jest nas mniej o około 2,5 tysiąca. Wracając do celów: musimy mocniej współdziałać ze wszystkimi, którzy pomogą w rozwiązywaniu spraw młodych, z „Solidarnością” wiejską i robotniczą, z ZMW i ZMD. Na konferencji chcemy w zarysie ustalić metody. Będziemy dopominali się o fundusz socjalny wsi. Jeżeli pracownicy zakładów mają wydzielone pieniądze na imprezy sportowe, turystyczne, kulturalne, dlaczego nie ma być ich dla rolnika. Sprawa następna — szybkie reagowanie na drobne niedociągnięcia, utrudnienia uciążliwe w codziennym życiu. Mocniej musimy też wejść w środowisko szkolne. Bo to nienormalne, że np. dziewczęta z OKZ placą prywatnie 400 zł, by zaplombować sobie ząb.

— W otwartych konfliktach, a było ich w województwie sporo, jak dotąd jednak jasnego stanowiska ZSMP nie zajmowało.

R. ENGLER: — Nie podzielałem nigdy poglądu, że trzeba od razu urządzać marsze protestacyjne. Natomiast nasi przedstawiciele są członkami komitetu miejskiego PZPR, uczestniczą w różnych komisjach, zasiadają w radzie narodowej — i tam swoje stanowisko wyrażaliśmy jednoznacznie.

H. GRYKO: — Jeżeli Engler zabiera głos na jakimś posiedzeniu, to przecież nie mówi jako Roman — stoi za nim kilkuset ludzi. Inna sprawa, że mogłyby sobie to uświadomić również władze.

B. BARTOSIK: — Niech skończą wreszcie z poklepywaniem nas po plecach!

Ameryka postaw



kontakty kontaktów

Szanowna Pani Karolino, cieszę się bardzo, że Pani listy są przechowywane i „Kontakty” mogą je publikować. Są naprawdę fajne i niech Pani dalej pisze, co myśli. Przypuszczam, że jak tylko kupię gdzieś papeterię, to Pani przysię. Pomysł z „ciupkami” bardzo mi się podoba [..].

CZESŁAWA DEBIŃSKA
Łomża

Od redakcji: Karolina zapewnia, że pisać będzie nadal.

Pisząc do Was ten list chcę skończyć raz na zawsze z nieładem w naszym sklepie (mieszkam w Glinkach, poczta Kumelsk). Jeśli jest dostawa towaru do sklepu, wszyscy mieszkańcy wsi stają w kolejkę rano (nawet o 3.00), żeby coś kupić, bo towaru zazwyczaj jest mało. Natomiast nauczyciele przyjdą, jak tylko sklepowa otworzy sklep, i chcą wszyscy naraz być załatwieni. Jeżeli pozostali mieszkańcy stoją w kolejce od rana i nie kupią, a nauczyciele są obsługiwani poza kolejnością, to fakt ten drażni ludzi. Dyrektor szkoły mówi, że istnieje odpowiednie zarządzenie. Chcę się dowiedzieć, czy rzeczywiście więcej nauczyciele posiadają taki przywilej?

LILIANA ŁAWSKA
Glinki

Od redakcji: Urząd Wojewódzki w Łomży sprawę ułatwień w czynieniu zakupów przez wiejskich nauczycieli pozostawił w gestii naczelników gmin. Widocznie w Pani gminie wyszło stosowne zarządzenie. A tak na marginesie: czy w narzekaniach nauczycieli na niedocenianie ich pracy i społecznej roli nie ma trochę racji?

W związku z notatką zamieszczoną w rubryce „Śpiecia” w „Kontaktach” nr 40 proponuję jej autorowi ponownie przeczytać wywieszkę zamieszczoną na drzwiach jego pokoju — do końca i dokładnie. Informacja bowiem „głosi”, że Naczelnik Gminy przyjmuje interesantów w czwartki w godz. 9.00—12.00 oraz w poniedziałki w godz. 10.00—18.00, ale w sprawach skarg i wniosków.

Ewidencja wyjść w godzinach służbowych w Urzędzie znajduje się u Sekretarza Urzędu Gminy i braku jej żadna kontrola nie stwierdziła.

Wychodząc z biura informuję każdorazowo Sekretarza Urzędu Gminy o miejscu mojego pobytu, nie mam natomiast obowiązku informowania o tym wszystkich pracowników Urzędu. Widocznie autor notatki nie bardzo chciał wiedzieć, gdzie przebywam, jeżeli nie pytał o to kompetentnej osoby.

Na jakiej podstawie można twierdzić, że stoję ciągle w kolejce, a nie przyjmuję interesantów (bo tak właśnie wynika z zamieszczonej notatki)? Jeżeli już w sporadycznym wypadku stałam w kolejce, to tylko świadczy o tym, że nie zaopatruję się „spod lady” — a naczelnik to też człowiek i też chce żyć i jeść.

Inż. IRENA MILEWSKA
Naczelnik gminy Śniadowo

Od redakcji: Nie rozumiemy pretensji, skoro do wyjść w kolejki sama się Pani przyznaje w liście. Godziny przyjmowania przez Panią interesantów są dla całości „przyczeka w nos” mało istotne.

- DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

W końcu wybory przeprowadziliśmy, ale zebrać się znowu nie możemy, bo nikt nie przychodzi. Wydaje mi się, że pora najwyższa, aby Komitet Zakładowy podjął jakieś decyzje dla wyprostowania sytuacji: albo będzie 30 członków prawdziwych, albo zmienimy metodę działania — zaczniemy rozmawiać z członkami po prostu półprywatnie, półsłużbowo, na stanowiskach pracy. Ja do takiej organizacji nie chcę należeć, w której opowiadamy, że jest nas 130 członków, bo to nieprawda. Może oni składki i płacą, ale poza tym nie robią i ciągle na zebraniach są te same twarze 30—40 osób. Tak samo jest w pionie produkcji. Zbieraliśmy się trzy razy i cały czas frekwencja: dwunastu, trzynastu, piętnastu. W końcu podjęliśmy decyzję, żeby zrobić wybory. Skreśliśmy kilku, wtedy udało się je przeprowadzić. Komitet Zakładowy ustosunkował się do tego faktu krytycznie, ale nie powiedział nic na temat wyjścia z kłopotu.

GŁOS II: — Ja, towarzysze, widzę tę sytuację, jaka jest w kraju, u nas w zakładzie, w województwie, gminie; wszędzie tak samo. Każdy jest zmęczony, a po tym, jak Jurczyk wypowiedział się o szubienicy dla partyjniaków, trudno liczyć na frekwencję. Człowiek czuje się tak, jakby znowu trzeba było walczyć z bandami. Natworzyło się tych grup, „Solidarność” chłopska, robotnicza, i każda w swoją stronę mówi, a partia w swoją, i nie wiadomo, kogo teraz słuchać. No i druga jest sprawa z tą reglamentacją żywności. Nawet u nas w zakładzie jeszcze do dziś nie wszyscy kartki otrzymali. W kiosku kupić nie można, bo zrobili na dział, a powinno być zmianami. Jeden dział będzie kupował przez tydzień, a pozostałe mogą żyć, jak sobie chcą. Następna sprawa: wojewoda ograniczył zużycie gazu; butla ma wystarczać na półtora miesiąca. A jeśli u mnie dwie rodziny z tej samej kuchni korzystają, to jak ma nam ona wystarczyć? Zarządzenia powinny być logiczne! Inna rzecz: źle się dzieje w magazynie, gdzie pracuję. Kierownik karze za wszystko. Po co są ci byrgadzisz? Aby tylko siedzieć i pieniądze brać? A w magazynie brakuje sprzętu, ciężkich rzeczy nie ma czym przewozić. Zamiast dać sprzęt, straszą i dają nagany. I jeszcze coś: jeśli partia będzie się zbierała w takiej gromadce, to chyba od nowa musimy się zorganizować, a nie liczyć członków według składek, czyli ilościowo. Przez takie liczenie doprowadziliśmy ten kraj do ruiny, a przewagę wzięły nad nami różne wrogie grupy, i to do tego stopnia, że na ulicę strach wyjść: drzwi mi podpalają albo bez przerwy wapno leją pod próg.

GŁOS III: — Przyczyną słabej aktywności naszej organizacji zakładowej jest również i to, że I sekretarz społecznie pełni swoją funkcję. W godzinach pracy nie ma nikogo w pomieszczeniu Komitetu Zakładowego i nie ma możliwości skontaktowania się bezpośrednio z kimkolwiek z sekretarzy, dlatego brak przepływu informacji od dołu do góry, nie ma łączności. Co do organizacji magazynowo-transportowej: prawdopodobnie i ja do niej należę, ale nie mam pewności, bo, szczerze mówiąc, w tym roku od wyborów zostałem tylko raz powiadomiony o zebraniu. Z pewnością także i inni członkowie OOP zostali postawieni w podobnej sytuacji, co się odbiło na frekwencji, co się odbiło na porozumieniu. Każdy z nas jest za porozumieniem, ale wszystkich sił, nie tylko rządu i „Solidarności”. Teraz wysoka grupa coś załatwia, a reszta nic nie wie i nikt o nią nie dba. O brak śmietany i masła w Żyrardowie był wielki raban, a u nas już o godz. 8.10 mleka brakuje!

GŁOS IV: — W ostatnim okresie nie cieszyliśmy się dużą frekwencją na zebraniach, ale dziś mamy szczególny dzień: jest to dzień po awarii w zakładzie i przed wolną sobotą. W przyszłości nie powinniśmy przed wolną sobotą organizować zebrań, bo ludzie na dwa dni wyjeżdżają. A teraz do rzeczy. Wprawdzie nie wypada zgłaszać uwag pod adresem towarzyszy sekretarzy z KW...

GŁOS V: — Dlaczego jesteś taki delikatny? U mnie w gabinecie walisz, aż ściany huczą.

GŁOS IV: Przez dwa miesiące po prowadzeniu kartek wszystko prze-

biegało dobrze. Niestety, od trzech miesięcy są one pobierane w dwóch ostatnich dniach miesiąca, a na początku miesiąca jest lepsze zaopatrzenie. Dalej: uważam, że wszystkie ceny trzeba podnieść równocześnie, wówczas rolnicy będą wiedzieć, na czym stoja, i zaczną swoje produkty sprzedawać. Projekt uchwały mówi o naszej aktywności. Tak, towarzysze, nie widać nas, schowaliśmy się pod kołderkę. W sytuacjach napiętych boimy się narazić, chociaż — to prawda — ostatnio, mimo zapowiedzianych postojów, nikt nie strajkuje.

SZEPT Z BOKU: — Nieprawda. Nazywajmy rzeczy po imieniu. Toż to dezinformacja.

GŁOS VI: — Prezes wydał zarządzenie, że nie można kupić mle-

każdy mówi w swoją stronę

Plenum Komitetu Zakładowego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej przy Zakładach Płyt Włókowych w Grajewie w dniu 4 listopada 1981 r. sporządziło projekt uchwały, która głosi m.in.:

„1. Komitet Zakładowy PZPR krytycznie ocenia dotychczasową działalność organizacji PZPR przy Zakładach Płyt Włókowych w Grajewie: a) brak zebrania oddziałowych organizacji partyjnych, b) pomimo trzykrotnego wyznaczania terminu oddziałowa organizacja pionu magazynowo-transportowego wyboru władz nie dokonała z uwagi na brak frekwencji, c) bierna postawa członków partii w okresie szczególnego napięcia społeczno-politycznego.

2. Komitet Zakładowy widzi konieczność aktywnego włączenia się członków partii do rozwiązywania następujących problemów: a) przestrzegania statutu PZPR uchwalonego na IX Nadzwyczajnym Zjeździe PZPR, b) reprezentowania linii partii wśród załóg, c) rozwiązywania problemów bytowych załóg wynikających z trudności dnia codziennego, d) zgłaszania wniosków i problemów, które nurtują załogę, do rozwiązywania przez egzekutywę Komitetu Zakładowego i wyższe władze partyjne.

3. Komitet Zakładowy stwierdza, że informacja przez kanały partyjne jest nadal niedostateczna, mimo wielokrotnego poruszania tego problemu. Członkowie partii w sprawach bulwersujących opinię publiczną muszą niejednokrotnie korzystać z informacji „Solidarności”.

4. Komitet Zakładowy wyraża zaniepokojenie stosunkiem władz partyjnych do środowiska dziennikarskiego, objawiającym się przez: a) usunięcie z szeregu PZPR Stefana Bratkowskiego bez podania, naszym zdaniem, szczegółowego i wystarczającego uzasadnienia, b) stosunek egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Krakowie do Macieja Szumowskiego „Sztandaru Młodych” z zajęciem otwartym, c) usunięcie redaktora naczelnego „Sztandaru Młodych” z zajmowanego stanowiska, d) zarzuty kierowane do zespołu redakcyjnego „Głos Wybrzeża” i „Gazety Współczesnej”.

Naszym zdaniem — środki masowego przekazu powinny obiektywnie informować społeczeństwo o wydarzeniach mających miejsce w naszym kraju i na świecie.

5. Komitet Zakładowy, popierając uchwałę IV Plenum KC PZPR, opowiada się za linią dialogu, porozumienia i współpracy ze wszystkimi siłami społecznymi i politycznymi, jedyną drogą do wyprzedzenia kraju z kryzysu społeczno-gospodarczego i politycznego. Jednocześnie z uznaniem odnotowuje ostatnie spotkanie I sekretarza KC, tow. Wojciecha Jaruzelskiego, prymasa Polski, księdza arcybiskupa Józefa Glempa oraz przewodniczącego KK, Lecha Wałęsę.”

ka, oranżady czy piwa, jak się nie ma butelki. Skąd mam ją wziąć, jeśli kupuję coś pierwszy raz? Druga sprawa: reglamentacja mięsa. Czy jest wiadomo, w jaki sposób ustalane są listy na zakup mięsa? Chyba po zakończeniu sprzedaży w danym dniu. Ja nie mam możliwości na tę listę się wpisać, to w jaki sposób kupić mięso?

SZEPT Z BOKU: — Wziąć urlop.

GŁOS VII: — Chcę się ustosunkować do niektórych problemów zaproponowanych w uchwale, ale również, korzystając z obecności tow. Czerniawskiego, zadać mu parę pytań. Wiem, że sytuacja w partii nie jest najlepsza, więc może by nam tow. sekretarz, kierujący dużą organizacją łomżyńską, powiedział, jakich metod tutaj użyć, żeby na 130 członków partii przychodziło na zebrania 130, a nie zaledwie 30. Może nie potrafimy pociągnąć za sobą ludzi, więc skorzystajmy z metod już wypróbowanych. To pierwsze pytanie. Najbardziej członków plenum i całej organizacji bulwersuje sprawa informacji wewnątrzpartyjnej. Bądźcie tak uprzejmi, towarzyszu, i powiedzcie nam, jak wy jesteście informowani. Może ta informacja jest nie dla wszystkich? Może my tu, w zakładzie, jesteśmy jej niegodni? Czy znany jest wam, na przykład, cały przebieg sprawy Bratkowskiego? Czy zostali w niej dopełnione wszystkie postanowienia statutowe? Ja mogłem czerpać tylko z „Dziennika Telewizyjnego” i „Trybuny Ludu”, lecz może ta informacja jest niepełna? Często na plenum KZ-u pada pytanie, dlaczego przygotowuje się lub wręcz zniekształca informacje

przez wybieranie tych elementów, które są w danym momencie wygodne? Przykład taki chociażby: jak pamiętacie, towarzysze, wywołano na taczkach przewodniczącego związku branżowego Kopalni „Szczygłowice”. Kiedy DTV podał tę informację, we właściwej sobie interpretacji, byłam tak oburzony, że pierwszy bym wstał i poszedł bronić godności ludzkiej. Ale za parę dni, i to w trzecim wydaniu „Dziennika”, licząc pewnie na to, że część towarzyszy już śpi, doniesiono, że organizacja partyjna zagroziła rozwiązaniem się czy zawieszeniem działalności, jeżeli nie zostanie wypuszczony przewodniczący „Solidarności”. To są przykre, nie tylko dla naszej organizacji, przykłady, jakie daje się nam argumenty w rozmowach z członkami partii, a przecież jesteśmy organizacją społeczno-polityczną, która powinna oddziaływać na wszystkich pracowników w zakładzie. Szczególnie na te informacje jest w tym przedsiębiorstwie bardzo dużo pretensji do władz wojewódzkich i miejskich. Wy, tow. Czerniawski, wytłumaczcie nam, na ile wy jesteście winni w tym Komitecie Wojewódzkim? A może sami nie macie rzetelnej informacji? Sądzę, że trzeba sobie raz po meksku powiedzieć, jak sprawy wyglądają. No i coś trzeba z tą organizacją zrobić.

SZEPT Z BOKU: — Rozwiązać.

GŁOS VII: — Musimy, towarzysze, coś z tą organizacją partyjną w naszym zakładzie zrobić. Nie możemy chyba na tym etapie czekać, aż się samo uładzi i wtedy ci nie zdecydowani towarzysze do nas przejdą. Sytuacja jest taka, że KZ

nie ma z kim założonego programu realizować. Choć z naszym dogadywaniem się nie jest źle. Żeby towarzysze na gorze umieli się tak dogadywać, w naszym kraju byłoby o wiele lepiej i prościej. Ale i nam może braknąć sił, cierpliwości i zdrowego rozsądku. Dużo obiecywaliśmy sobie po tym spotkaniu Jaruzelskiego z prymasem i Wałęsą. Zachód pieje zachwyty, mówi o przełomie, a w „Trybunie” pojawił się na ten temat cały tekst, złożony drobnym drukiem. Więc nie wiemy, jak jest naprawdę, choć z niepokojem czekamy na konstruktywne kroki rządu. Dalej: z częściami zamiennymi i dewizami już gorzej być nie może, a my tymczasem za fiaty 126p bierzemy papyrykę, po której strawnieniu zostanie tylko nawóz. I nagle okazuje się, że ten fiat nie jest wcale taki drogi, jak nam tłumaczono przy podwyżce ceny. My dużo nie chcemy, tow. Czerniawski, lecz tylko tego, aby organizacja miała twarz i mówiła prawdę. Mamy swoje wewnętrzne stresy, więc po co nam te kłopoty z wiarygodnością?

GŁOS VIII: — Powinniśmy się starać pomagać sobie nawzajem i otaczającym nam ludziom w życiu codziennym, nawet w drobiazgach. Oni to zauważą i zapamiętają na pewno. A do takich drobiazgów należy problem dystrybucji. Trzeba znaleźć sposób na podział żywności, bo dotychczasowy jest skandaliczny. Np. co się dzieje z dystrybucją benzyny! Cuda. Wczoraj trzech pijanych rzadziło stacją w Grajewie. Napelniał kanistry, komu chcieli, po 50—100 litrów, i nie było na nich siły, a po obu stronach po 300 samochodów czekało w kolejce. Powinniśmy



kontakty kontaktów

W 39 numerze „Kontaktów” z 4 października br. ukazał się mój artykuł pod tytułem „Janek Krasicki o Miłoszu i „żagarystach”, do którego — nie z mojej winy — zakradło się kilka poważnych błędów. Proszę o sprostowanie przynajmniej najpoważniejszych:

Stanisław Brzozowski nie był filozofem „małopolskim” tylko „młodopolskim”.

Trzecie zdanie od końca we wstępie powinno brzmieć: „Jeżeli nie pierska, była to na pewno jedna z pierwszych prób krytyczno-literackiej oceny wczesnej twórczości Czesława Miłosza.” Poza tym niektóre wersy młodzieńczych wierszy Miłosza ukazały się w dość dowolnym układzie odredakcyjnym (czy może zecerskim), natomiast wiersz Putramenta zamienił się we fragment prozy.

KRYSTYNA KONECKA
Białystok

Od red.: Przepraszamy Autorkę w imieniu redakcyjnego chochlika za błędy i przytaczamy poprawne brzmienie wiersza Czesława Miłosza:

[...] „idzie pusta noc, na naszych oczach leży ślepa noc symboliczna a z magnetycznych pól, jak martwy posąg na koniu cwałuje wśród chrzęstu lat prawda nielogiczna”.

I Jerzego Putramenta.

„Południe jest tak gorące, że spalane na niebiesko powietrze osiada na siwym zbożu, budząc w niem leniwe dreszcze. Kiedy upadnie wiar, niosący słodką woń żółtozielonego lubinu nad wodą rozgrzaną, która w zamyśleniu do nieba się uśmiecha można raczej wyczuć, niż słyszeć echa odległych gromów dudniących bez przerwy, głucho, jak daleka artylerja, osłaniająca natarcie, które się zaczyna”.

★

Szanowni Państwo, jako Wasza stała i życzliwa czytelniczka chciałabym wyrazić swoje szczere uznanie dla redakcji za wypracowanie i konsekwentne utrzymywanie formuły obiektywnego i prawdziwego pisma, ale i poruszyć problem, myślę, że ważny. Od pewnego czasu zauważam w całym swoim otoczeniu, wśród znajomych i przyjaciół niemal spadek popularności „Kontaktów”.

Wydaje mi się, że los pisma — o ugruntowanej już przecież renomie — leży na sercu nie tylko czytelnikom, ale również (i to chyba bardziej) jego twórcom — zespołowi redakcyjnemu.

Przyczyn przykrego zjawiska trudno jest mi dociekać, a już na pewno nie powinnam ich tu wypunktowywać. Powód jasny — mogłabym zaprezentować jedynie własny punkt widzenia. A przecież nie o jednostkowe opinie chodzi. Toteż — jeżeli wolno mi coś zaproponować — może rozważyliby Państwo możliwość zaapelowania do czytelników o ich opinie, wnioski i zastrzeżenia pod adresem tygodnika. Analogicznie jak w chwili, gdy „Kontakty” dopiero powstawały. Tym razem wypowiedzi byłyby ciekawsze gdyż czytelnicy mają możliwość skonfrontowania swoich wyobrażeń, oczekiwań i przewidywań. Wprawdzie udział czytelników w redagowaniu pisma jest widoczny, to jednak ankieta, którą doradzam, wieść czytelników z pismem zacieśniłaby, a zainteresowanie nim — wzrosło. Bo doprawdy wielka to strata, gdy dobre pismo czytane jest rzadko i niechętnie.

Z najlepszymi życzeniami wielu sukcesów

TERESA WISŁAWSKA
Łomża

Od red.: Tego rodzaju listy zawsze bardzo nas cieszą, co ważniejsze, pomagają. Toteż — niezależnie od ankiety, którą z pewnością w przyszłości przygotujemy — pragniemy o nadsyłanie swoich uwag i propozycji tematycznych; wszystkie chętnie wykorzystamy.



tam być i porządku pilnować! A co do informacji — jest rzeczywistość skandaliczna; argumenty dostosowuje się do sytuacji. A przecież ludzie to nie pógłówni i takie traktowanie uwalnia ich godności.

GŁOS IX (sekretarza KW PZPR): — Odpowiem tak, jak pozwala mi moja wiedza i moje doświadczenie. A doświadczenie mam wcale nie tak duże, bo dopiero od czerwca br. kieruję miejską organizacją partyjną i jestem w kierownictwie Komitetu Wojewódzkiego. Zaczęło się od odpowiedzi na pytanie dotyczące informacji. Myślę, że najlepiej zrobić, jeśli przedstawię informacje, jakimi dziś dysponuję. Mam z sobą teksty z ostatnich czterech dni, łącznie z dzisiejszym, przeczytam je, a wy, towarzysze, sami ocenicie, z czym członek KW udaje się na spotkanie z załogą.

Sekretarz czyta teleksy, rzeczywistość ubożuchna i nie opatrzone komentarzem, w treści nie odbiegające od informacji obiegowych, po czym mówi: — Myślę, że zacytowanie tylko tych informacji bez komentarza byłoby uproszczeniem sprawy. Faktem jest, że wszyscy z ogromnym zainteresowaniem oczekiwaliśmy i przyjęliśmy spotkanie wielkiej trójki. Z rozmów tych miał być podany krótki komunikat, bez cytowania ich treści. Wiadomo, że dotyczyły one przede wszystkim aktualnej sytuacji społeczno-politycznej i gospodarczej kraju, że był to pierwszy krok w kierunku zawar-

przecież nie chodzi o odebranie dyktorowi Kowalskiemu fotela, lecz o kontrolę nad wszystkim, czym władza może dysponować. A na całym świecie wiadomo, że władzę ma ten, kto posiada w swoich rękach łączność, środki masowego przekazu, informację oraz wojsko. Nie chcę powiedzieć, że wina leży cały czas po drugiej stronie. Wiem, że trzeba nadal i często patrzeć samokrytycznie. Ale przecież nawet to, co przeczytałem w krótkiej informacji o poczynaniach „Solidarności” w stosunku do organizacji partyjnych w zakładach pracy, nie jest niczym innym, jak potwierdzeniem wypowiedzi niektórych przywódców Związku. Dysponuję tylko listem Jurczyka, który został skierowany do marszałka Sejmu. Mielśmy oficjalne potwierdzenie, że list ten do kancelarii Rady Państwa nie wpłynął. Chciałbym przypomnieć coś, o czym powinni pamiętać nie tylko członkowie partii, ale także ci wszyscy, którzy chcieliby, aby partia zeszła całkowicie na margines, mianowicie — jedno zdanie z wypowiedzi Stefana Wyszyńskiego: jeśli Polska ma być silnym krajem, niezależnym, jeżeli ma również stanowić o swoim samostanowieniu, to — ze względu na swoje geopolityczne położenie — musi mieć silną partię. Pytacie, co się dzisiaj dzieje w partii. Będę się opierał na przykładzie województwa. Otóż jest bardzo różnie, ale, generalnie: nie najlepiej. Po IX Zjeździe, kiedy nastąpił autentyczny wybuch aktywności, organizacje

w około stu organizacjach zebrania. Dla niektórych były to pierwsze zebrania od konferencji sprawozdawczo-wyborczej. Na drugą część zaprosiliśmy wszystkich decydentów z wojewódą na czele. Efekt był taki, że otrzymaliśmy wiele odpowiedzi od dyrektorów, prezesów i przedstawicieli administracji państwowej, a my dawaliśmy konkretne propozycje rozwiązania spraw. Finał chyba, towarzysze, znacie: porozumienie, które zostało zawarte przez wojewodę z „Solidarnością”. Uogólniając: uważam, że jeśli chcemy uruchomić partię i być rzeczywistie wiarygodni, potrzebne są nam cztery podstawowe elementy: rzetelna informacja, scenariusz działania, mądra taktyka i dobra praca administracji państwowej. Musimy odpowiedzieć sobie na takie pytanie: komu mamy przewodzić? Czy Komitet Centralny — Wojewódzki, a te Miejski i Gminny, czy też mamy przewodzić społeczeństwu?

GŁOS X. — Dlaczego wojewoda uległ dopiero presji „Solidarności”, a sam z dobrą wolą do mieszkańców nie wyszedł?

GŁOS XI: — Czy dowiemy się, jak i kto został ukarany za te nasze nieszczęsne ulotki? Obiecywało nam już kilku sekretarzy przybyłych tu na zebrania i — jak do tej pory — żaden nie wywiązał się z obietnicy. Czy jeszcze raz będę musiał zadawać to pytanie, czy też można uznać, że zadaje je po raz ostatni?

GŁOS XII: (sekretarza KMG w Grajewie): — Należę do tej nieszczęsnej organizacji, która się nie zebrała. Ale zanim to wyjaśnię, chciałbym omówić kilka rzeczy z terenu miasta. U nas sytuacja nie jest w tej chwili zła, chociaż mamy dwa ogniska zapalne: to Lubelska Fabryka Wag i Technikum Rolnicze. Jeśli chodzi o dzień 28, mamy o tyle czyste partyjne sumienie, że na kilka dni przed zapowiadzianym strajkiem w trzynastu naszych węzłowych zakładach odbyliśmy spotkania z egzekutywami, z aktywnymi i kierownictwem. No, wynik taki, że dwa zakłady stały całkowicie, a w siedmiu odbyły się strajki częściowe. Mówi się, że sytuacja w Grajewie jest lepsza niż gdzie indziej, ale tymczasowo. Są napięcia różnego typu, szczególnie na tle zaopatrzenia w artykuły pierwszej potrzeby, głównie w mleko i mięso. My w KMG na tę organizację w Zakładach Płyt Włókowych zawsze liczyliśmy i liczymy. Bo trzeba wiedzieć, że ma ona duże oddziaływanie na miasto. Jak innym organizacjom dają przykład waszej, to oni mówią: tam są mądrzejsi ludzie. Ale ciągle brakuje odpowiedzi na pytanie, co zrobić, aby tę organizację rozruszać. Siedzimy w ukryciu, choć popieramy niektóre posunięcia KC.

SZEPT Z BOKU: — Gorzej z realizacją.

GŁOS XIII: — Gaz będzie nie na sześć, lecz trzy tygodnie, o kartkach nie nie wiedziałem, o piwie nie słyszałem, ale butelki przy zakupie mleka nie są wymagane...

GŁOS XIV: — Protestuję. Osobiście przedwcześnie dostałem litr mleka, chociaż chciałem dwa, bo miałem jedną butelkę.

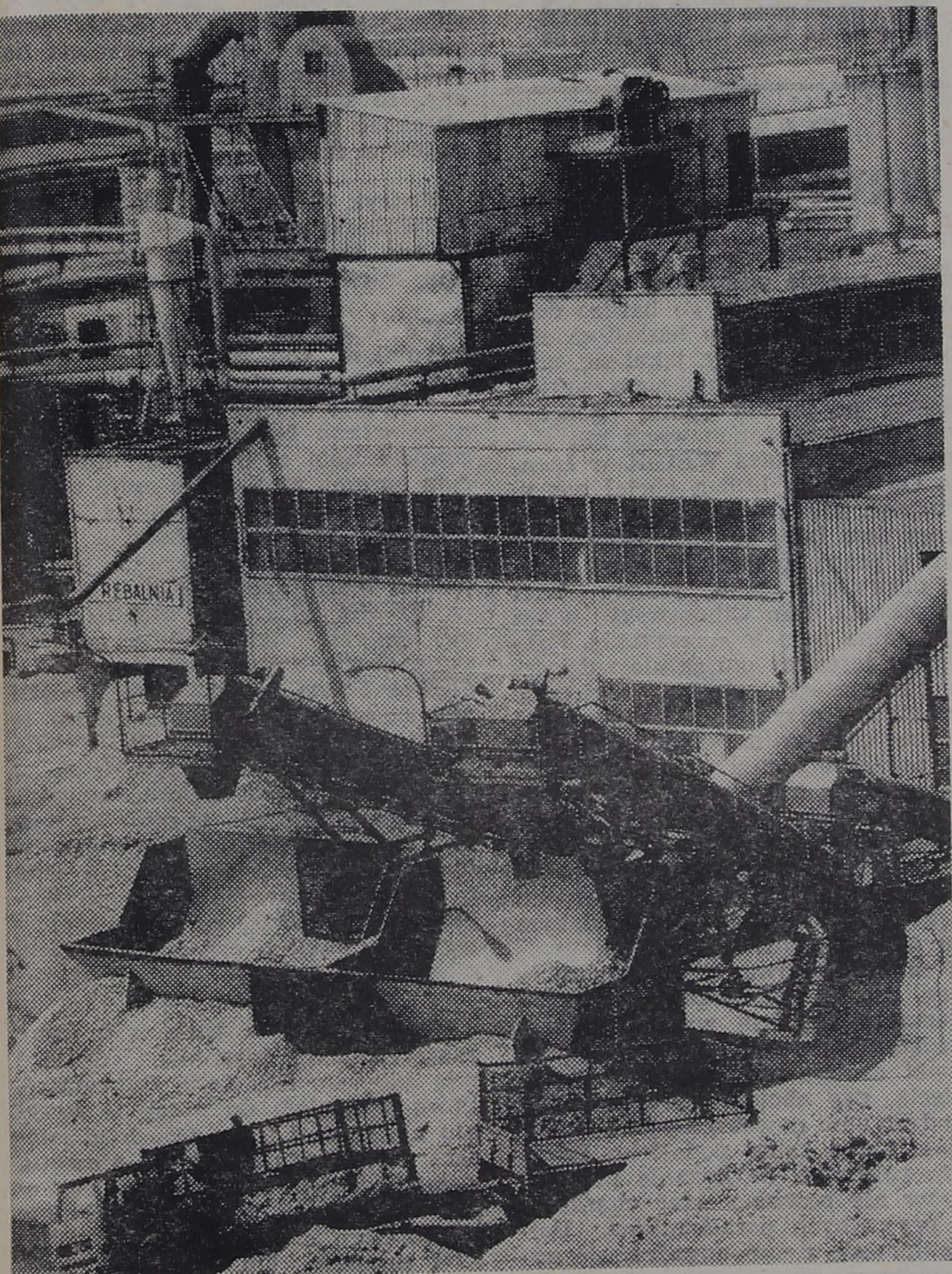
SZEPT Z BOKU: — Pierw apelują o zdanie butelek, a potem noś mleko w podółku.

GŁOS XV: — Jak jest pokrycie na kartki, to niech na pół kartki każdy dostanie! Teraz jeden wykupi całą kartkę, a drugi nic. Nie oszukujemy społeczeństwa!

GŁOS XVI: — Teraz strajkują ci, którym nie przemysłowymi decyzjami odebrano nadzieję, aby zadość zrobić mocniejszym. Czyli tak będziemy się bawić: raz w tą, raz w tą. Ludziom trzeba mówić prawdę, i to szczerą, wtedy każdy zrozumie, że jak nie ma, to się nie da. Ale jeśli wiem, że w Białymstoku jest tak, a u nas inaczej, to krew mnie zalewa. Małe, samodzielné księstwa mamy czy co? W innych województwach dzieci dostają do cukru ileś tam słodyczy, a do nas nie dowiedzieli. I znowu pretensje do władz, bo nie potrafią zapanować nad sytuacją.

GŁOS LITOŚCIWY: — Towarzysze, dajcie sekretarzowi miejskiemu skończyć, bo już od kilkunastu minut stoi na mównicy!

Spisała **STEFANIA HENCZEŁOWA**
Fot. GABOR LORINCZY



cia rzeczywistego, autentycznego przymierza, do konkretnej realizacji porozumienia. Nasuwa się takie uogólnienie: najbliższe dni i tygodnie będą okresem bardzo subtelnej polityki. Myślę, że niepokój budzi treść uchwał podjętych przez KK „Solidarność”, co do których zostanie wydane oficjalne oświadczenie rządowe. Być może w dniu dzisiejszym, na posiedzeniu prezydium KK, dojdzie do pewnego łagodzenia ich treści. Dotyczą one wielu tematów, aż po dostęp do środków masowego przekazu. Jest w tych uchwałach również jedna rzecz, która nie daje aż tak dużego pola manewru dla rządu: trzymiesięczny okres ich realizacji. Myślę, że kiedy będziemy dalej obserwować bieg wydarzeń, a każdy musi na własną odpowiedzialność selekcjonować informacje podawane przez prasę, radio czy telewizję, powinniśmy również obserwować stosunek Kościoła do tych wszystkich soraw. Kościół bowiem pragnął być poręką porozumienia. Powinniśmy mieć świadomość, że konsekwentnie realizowaną jest określony scenariusz, i jeżeli mówimy o przejmowaniu władzy, o rewolucji bez rewolucji, to

i instancje partyjne stanęły jak gdyby na uboczu, ograniczając się do roli obserwatora. Nastąpiła pewna pustka programowa. Rzecz jasna, nie chcę powiedzieć, że jeśli POP określi sobie zadania, to będzie już aktywna, bo jest wiele uwarunkowań zewnętrznych, które muszą być rozstrzygnięte przez Komitet Centralny czy Wojewódzki. Ale o to, żeby coś się zmieniło, nie tylko twarze i nazwiska w KC czy w KW, powinniśmy dbać wszyscy i bardzo mocno walczyć. Jeżeli dziś mnie ktośkolwiek pyta, na czym polega słabość wojewódzkiej czy miejskiej organizacji partyjnej, odpowiadam: nie mamy taktyki działania na dziś i na jutro. Myśmy w miejskiej instancji partyjnej podjęli próbę określenia taktyki. Ustaliliśmy, że zajmujemy się trzema podstawowymi sprawami: przede wszystkim — wewnątrzpartyjnymi i systemem informacji oraz sposobami wyjścia do załóg. Nie będę mówił, jak to robiliśmy, w każdym razie udało nam się uruchomić wiele organizacji partyjnych. Przygotowaliśmy dwuczęściowe plenum. Po pierwszej części zebraliśmy wszystkie wnioski i codienne bolączki ludzi, odbyliśmy

— Ponad cztery miesiące zajmowania się sprawą chyba wystarczy, żeby wyrobić sobie poglądy? Ile razy będziesz męczył pytaniami tych samych ludzi i głównego zainteresowanego? Masz trzy dni na zebranie myśli i słów.

Nie miałam sensownych kontrargumentów. Faktycznie, rozmawiałam z blisko dwudziestoma osobami; z niektórymi — kilkakrotnie. Mam dużo notatek i sporo wątpliwości. A przecież podczas pierwszych rozmów, kiedy gubiłam się jeszcze w faktach i nazwiskach, miałam ich znacznie mniej. Wprawdzie dyr. Ciborowski nie ukrywał, że zainteresował, już swoją sprawą dwoje innych dziennikarzy (co kazało mi przypuszczać, że sprawa jest bardzo trudna lub nudna), ale mimo to nieśrudzenie przez kilka godzin przedstawiał historię swego zwolnienia ze stanowiska dyrektora Wojewódzkiego Biura Geodezji i Kartografii w Łomży.

Zaczęło się typowo dla ubiegłorocznej jesieni — od donosu. Wpłynął do wojewody Zientary w końcu listopada i głosił m.in. o nieprawidłowościach w zlecaniu robót geodezyjnych, samowolnym przekazywaniu mocy produkcyjnych do województwa suwalskiego, fałszowaniu danych, zbyt częstym pobieraniu delegacji, przeważnie kilkudniowych, do Białegostoku, i o nieprzyswoitym zabieganiu o następne 1000 złotych podwyżki (choć już zarabiał 12 tysięcy). Wszystkie fakty ujęte w 9 punktach; słownictwo fachowe, dobre rozeznanie w pracach Biura. Anonim bardzo szybko zaowocował: dyrektor Łaguna z Wydziału Kontroli i Instruktażu Urzędu Wojewódzkiego wszczął swoje dochodzenie, a Wojewódzka Komisja Kontroli Partijnej — swoje. Kontrola Urzędu Wojewódzkiego potwierdziła nieprawidłowości finansowe. Ciborowski udowodnił, że sprowadza się to do zarzutu przyznania zbyt wysokich stawek niektórym pracownikom: Zofii Dąbrowskiej, Krystynie Tomaszewskiej i Romualdowi Jasińskiemu, oraz — omyłkowo — podwójnie rozliczonej delegacji, co przyniosło państwu 222 złote straty.

WKKP zwróciła się również do Komitetu Zakładowego PZPR przy Urzędzie Wojewódzkim o opinię tow. Ciborowskiego, a sekretarz przekazał to polecenie egzekutywie oddziałowej organizacji partyjnej przy Wojewódzkiej Dyrekcji Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich, któremu Biuro Ciborowskiego bezpośrednio podlega. Opinia okazała się mocno negatywna.

Ciborowski nie myli się twierdząc, że wypracowano ją głównie na podstawie relacji jednego członka egzekutywy, tow. Tymiańskiego.

— Z tej opinii nie wynikają żadne konkretne zarzuty — wytkam inż. Jackowi Mieszkowskiemu, członkowi egzekutywy.

Przyznaje, że faktycznie nie stwierdził żadnych poważnych uchybień, ale wiele drobnych świadczy o niezdolności atmosferze wzajemnej niechęci. Towarzysz Ciborowski lubił decydować o hierarchii pracowników, pouczał, z kim się mogą kolegować, ostrzegał jednego przed drugim. Tomaszewskiej obciął premię za złe przepisywanie na maszynie. Dziwnie rozliczał delegacje: wynikało z nich, że np. do Białegostoku wybierał się prywatnym pociągami korzystając z limitu, a na granicy województwa zostawiał samochód przy drodze i wsiadał do pociągu.

Henryk Ciborowski nie może przekonać tej fatalnej opinii, którą potem określi jako drugie źródło pasma swych kłopotów: — To jest paszkwil, a nie opinia. Posłuchali bzdur, których naczekał im Tymiański, a on dowiadywał się wszystkiego od państwa Elsterów, bo to ich przyjaciel. Gdy wychodziłem, były pijatki. Kilkakrotnie mówiłem Elsterom, żeby odłączyli się od tego towarzystwa. Zwracałem też uwagę Tymiańskiemu, żeby nie leciały z jego pokoju wiadomości, bo to jest blok mieszkalny, więc co sobie lokatorzy o Biurze pomyślą. Tymiański miał też spiecia z moją żoną, która była i jest przewodniczącą Rady Zakładowej w Biurze Planowania Przestrzennego,

a on — szefem Komisji Rewizyjnej Rady. Wyliczył, że żona wzięła aż 19 tysięcy z funduszu socjalnego w jednym roku. Fakt, że to dużo, ale przecież my oboje pracujemy w tym zakładzie, a poza tym mamy dużą rodzinę: czworo dzieci i teściową.

Henryk Ciborowski nie dał za wygraną i poprosił o uzasadnienie opinii partyjnej. Otrzymał ją dopiero 23 marca: „Egzekutywa OOP przy WDRMiOW stwierdza niniejszym, że w/w opinia została wydana w oparciu o odczucia poszczególnych członków Egzekutywy bez możliwości udokumentowania lub udowodnienia tych odczuć. Przeprowadzone na wniosek tow. Henryka Ciborowskiego postępowanie wyjaśniające nie spowodowało zmiany tych odczuć”.

— Odczucia, odczucia! A gdzie są fakty?! — wściekał się inż. Ciborowski.

Na nic się zdało bieganie z pozytywnymi opiniami z pracy w Białymstoku, od dyrektora Siojewskiego i dyrektora Kotowskiej, która stwierdziła: „Jest pracownikiem zdyscyplinowanym. Strona etycznie-moralna nie budzi zastrzeżeń”.

— Powiedzieli mi, że to dla nich nie dokumenty. 30 marca dostałem zwolnienie z pracy, a 9 kwietnia zapadła uchwała WKKP o udzieleniu mi nagany partyjnej.

W uzasadnieniu stwierdzono: „Henryk Ciborowski [...] wykorzystując okres reorganizacji administracji dopuścił się machinacji mieszkaniowej nadużywając jednocześnie społecznych środków mieszkaniowych. Ponadto w obecnej swojej pracy dopuścił się nadużyć finansowych polegających na fałszowaniu delegacji służbowych pobierając dwukrotnie kwoty. Jako kierownik zakładu swoim postępowaniem i zachowaniem wpływa na kształtowanie negatywnych stosunków międzyludzkich”.

Dla nieco wtajemniczonych opinia ta musiała wydawać się naciągana, skoro umieszczono w niej nawet to dwukrotne pobranie należności za delegację. Zdąrzyło się to raz na pięć lat, co można z powodzeniem przypisać roztargnieniu i Ciborowskiego, i księgowości. Sformułowanie, którego użyto, stwarza natomiast wrażenie, jakby to była normalna praktyka Henryka Ciborowskiego. Ponadto stanowi jedyny argument na stwierdzenie: „dopuścił się nadużyć finansowych”. Piszac natomiast o „machinacjach mieszkaniowych” nie wzięto pod uwagę jego oświadczenia; złożonego przed przejściem do Łomży, w którym legalnie informował o posiadaniu mieszkania i działki budowlanej w Białymstoku. Obiecał też wyzbycie się ich po otrzymaniu mieszkania w Łomży, na co oficjalnie wyraziła zgoda Białostocka Spółdzielnia Mieszkaniowa. Było dla mnie jasne, że w tych dwóch sprawach zrobiono z igły widły. O „stosunkach międzyludzkich” najbardziej wiarygodnie mogliby mnie poinformować pracownicy Wojewódzkiego Biura Geodezji i Kartografii. Jest ich pięciu, ale owego dnia zastałam tylko trzech; Marian Woronkin pełnił obowiązki dyrektora do czasu zatwierdzenia nowego.

— Dość długo stałem obok tej całej sprawy — powiedział. — Pracuję dopiero od marca ubiegłego roku; przyszedłem z białostockiego, skuszony mieszkaniem. Nie wiedziałem nic o atmosferze pracy. Na jesieni wyszła ta historia z anonimem. Za krótko pracowałem, żeby ocenić szefa. Z nikim w Biurze nie miałem większych konfliktów. Atmosfera jednak była rzeczywiście napięta i bardzo nerwowa. Spory wynikały chyba z jakiś wcześniejszych nieporozumień. Musiało coś nie grać, skoro mnie, tak krótko pracującemu, Ciborowski zaproponował zastępstwo, a nie komuś ze „starych” pracowników. Nie mogę zrozumieć, dlaczego w tak małym biurze (sześć osób w trzech pokojach) mogło dochodzić do wielkich kłótni. Teraz jest spokój. Myślę jednak, że gdyby

pan Ciborowski wrócił, atmosfera znów byłaby nieznosna.

Anna Elster, wbrew obrazowi, jaki mogłam sobie stworzyć na podstawie opowiadań dyrektora, jest miłą, rzeczową osobą. Prosto i jasno wyraża swoje opinie. I wcale nie dyszy nienawiścią do byłego szefa, choć nie można powiedzieć, żeby darzyła go szczególną sympatią. — Wydaje mi się, że pan Ciborowski absolutnie nie nadaje się na kierownicze stanowisko. Ma wybitnie konfliktowy charakter. Wprawdzie on to samo mówi o mnie, ale ja poza nim, nie miałam z nikim scysji. Pan Ciborowski nie ukrywa, że podejrzewa mnie o autorstwo lub współautorstwo anonimu. Zupełnie nieśluszenie. Ja ujęłabym zarzuty in-

lokalny

orzec

z wilczym biletem

DANUTA WRONISZEWSKA

czaj, a przede wszystkim podpisywałabym się. Znam go bardzo dobrze, jeszcze z okresu białostockiego. Zawsze był nerwowy, jakaś się, miał trudności z formułowaniem sądów. Cieszył się jednak opinią dobrego fachowca i zaproponowano mu stanowisko dyrektora WBGiK w Łomży. Od razu w 1976 r. chciał nas tu ściągnąć, ale zwlekaliśmy z tym przez dwa lata, bo mieliśmy tam dobrą pracę, przyjaźni. Zbyt mocno doskwierał nam jednak brak mieszkania. Pan Ciborowski wciąż wypomina nam to mieszkanie. Faktycznie jesteśmy mu za nie wdzięczni, ale, szczerze mówiąc, większość fachowców przyszła do Łomży tylko ze względu na mieszkanie. Zaraz na początku zaczął nas „ustawiać”, tłumaczyć, z kim można, z kim nie, kto jaki jest. Po kilku miesiącach doszło do otwartego konfliktu. Mąż nie wytrzymał i wygarnął, co myśli o wtrącaniu się do prywatnych spraw pracowników. Nie miałabym mu za złe, gdyby zwracał mi uwagę za niewłaściwe wykonywanie prac. Ale ta jego mania wyższości! Niemal z lubością wytykał nam i początkującym geodetom miejskim nawet drobne uchybienia. Były też spiecia, gdy obcinał premie. Nie chodziło nam nawet o kwestie finansowe, ale o samo podejście. Powinien rozumieć, że karanie pracowników nie powinno mieć charakteru prywatnych porachunków. Usiłowałam się z nim dogadać, ale nasze szczerze, długie rozmowy wyszły mi tylko na złe. Nikt nigdy go nie zmieni. On nikogo nie potrafi docenić, a sam jest zupełnie bez ambicji. Teraz chodź, jeździ, zabiega o przywrócenie go na stanowisko. Wszyscy mają go dość. Jest śmieszny i bardzo męczący. Ciągłe tu przychodzi, zamyka się w pokoju i dzwoni gdzieś godzinami, interweniuje. Potem nas zagaduje. A jak pójdzie, to też nie ma pracy, bo wszyscy jesteśmy podenerwowani. Jednego nie rozumiem: skoro jest takim dobrym fachowcem, dlaczego nie znalazł sobie pracy gdzie indziej. Z tego biura odeszło czworo ludzi i każdy z nich znalazł bez problemu korzystniejszą pracę.

Czy zmiana pracy musi oznaczać kleskę życiową człowieka? Romuald Jasiński uważa, że nie; jego by to nie załamało, ale: — Pana Ciborowskiego za bardzo poniżyli.

Jasiński nie lubi mówić; odpowiada krótko i na konkretne pytania: — Jakoś się z szefem dogadywałem. Dyrektorowi trudno się nie narazić: podejmuje decyzje, które nie zawsze są wygodne dla pracowników. Ja sobie nie biorę każdego

słowa tak mocno do serca, kolega Woronkin też nie, a kobiety... Chciałabym, żeby wreszcie jakoś rozwiązano tę sprawę. Brak dyrektora bardzo osłabia Biuro; nie ma kto pilotować rozpoczętych prac. Nie wiem, czy byłoby wskazane, żeby dyrektor Ciborowski tu wrócił, choć nie z tego o nim nie mogę powiedzieć. Starał się, walczył o etaty, awansował ludzi. Nie zawsze wszystko wychodziło mu najlepiej, ale źle nie było.

A więc w Biurze nie było też tak jednoznacznie źle. Może dyrektor Ciborowski mógłby wziąć sobie te uwagi do serca i zaprzestać czepiania się drobiazgów oraz dostrzegania tylko wad swoich pracowników. Może praca mogłaby się ułożyć. Trzeba było jednak taką rozmowę z nim przeprowadzić, a przy negatywnej opinii — zaproponować mu inne miejsce.

Już zabierałam się do pisania, gdy dyrektor Ciborowski wstrzymał mnie, ponieważ miały nadejść pozytywne wyniki kontroli z głównego Urzędu Geodezji i Kartografii, o którą sam poprosił. Nabierał też rozgłosu protest w jego sprawie geodetów terenowych. Oba te fakty podsycały nadzieję Ciborowskiego, że wicewojewoda Ciupa się zreflektuje i przed 1 lipca zwróci mu stanowisko dyrektora WBGiK. Doszły mnie słuchy, że ten protest został sfabrykowany przez samego Ciborowskiego, który ponadto woził swoim samochodem jedną z geodetek zbierających podpisy. Kiedy pani przedstawiała kolegom protest do podpisu, dyrektor stał obok — cichy, ze spuszczoną głową, ale jego obecność na podpisującym wpływał zapewne miała.

Henryk Ciborowski nie wypierał się wożenia geodetek: — Trudno żeby ona, fatygując się w mojej sprawie, traciła jeszcze na podróżach.

We wrześniu sprawa odżyła. Otrzymałam od inż. Ciborowskiego dość obszernie pismo: „Niniejszym podaję informację, która moim zdaniem winna być wykorzystana lub zamieszczona w artykule dotyczącym sprawy zwolnienia mnie z pracy i niezabezpieczenia mnie innej pracy na terenie m. Łomży. Wicewojewoda Ciupa w sierpniu br. zapewnił mnie, że będę zatrudniony w WBGiK zgodnie z kwalifikacjami. Powyższe stanowisko w późniejszym czasie wyraził na piśmie. Jednakże i tym razem swej decyzji nie wykonał. [...] Przypominam, że wojewoda i dyrektor WDRMiOW oraz Prezes GUGiK otrzymali pismo podpisane przez 13 pracowników, żądające przywrócenia mnie do pracy i stwierdzające, że absolutnie nie było złej współpracy między mną a pracownikami. Na te pismo Wojewoda Łomżyński od połowy czerwca do chwili obecnej nie udzielił odpowiedzi. [...]”

Chcę wrócić do tych osób, które zaprotestowały pisemnie. Główną rolę odegrała Ob. Zofia Dąbrowska, którą przyjąłem do pracy w sierpniu ub. roku. [...] Po dwóch miesiącach już zaczęła się starać o awans, z załatwieniem którego miałem ogromne kłopoty, znane Ob. Halinie Kotowskiej. Zresztą, gdy do WDRMiOW przysłała Ob. Kotowska moja praca się całkowicie zmieniła na gorsze. Zaczęłam być obstawiana. Ob. Kotowska zgłaszała szereg pretensji moim zdaniem nieuzasadnionych. [...] Ob. Dąbrowska będąc członkiem Rady Zakładowej wciągnęła w tę brudną sprawę Radę, która mnie jako szefa czy pracownika absolutnie nie zna. [...]”

Małżonków Annę i Mariana Elsterów sprowadziłem z Białegostoku na początku 1978 r. Ponieważ dowiedziałem się, że Anna Elster jest bardzo trudną osobą we współpracy i nie posiada odpowiednich doświadczeń, zdecydowałem się przyjąć ją na pewien okres do siebie i po przeszkoleniu przenieść do biura geodety miejskiego. Gdy po pół roku chciałem to uczynić, stanowczo się z tym nie zgodziła. Praca z tym małżeństwem była szczególnie trudna — od początku weszli w komitety z tymi, którym na porządku w geodezji nie zależało, a ich domeną były intrzygi jeszcze z czasów powiatowych. [...] Był taki przypadek, że Anna Elster na moje stwierdzenie, cytując: „miała pani dość czasu, żeby to zrobić”, wpadła w gwałtowny płacz i krzyczała „Marian, podaj wody” albo „Marian,



zabierz mnie stąd». Wówczas Marian Elster skoczył do mnie z pięściami i krzychał: «niech pan wyjdzie bo pan moją żonę zdenerwował». Ponieważ chwilę się wahalem, Anna Elster zaczęła mówić: «biagam pana, niech pan wyjdzie, bo to się może źle skończyć, więc dla świętego spokoju wyszedłem. Ponieważ kilka dni po tej scenie Anna Elster wręcz zaklinała się, że nie da się więcej ponieść emocjom, że chce tu pracować, a jeśli by była konieczność odejścia, to sama znajdzie pracę i odejdzie, już na tym zostało. [...] Chcę dodać, że moim staraniem w/w małżonkowie otrzymali mieszkanie, w dobrym miejscu, na drugim piętrze, a w Białymstoku nie mieli wcale i pracę gorszą. Marian Elster w okresie początkowym mieszkał w jednym z internatów, za co płaćta firma. Dla porównania

chcę dodać, że ja mieszkalem 7 miesięcy w hotelu i internacie, za co musiałem sam płaćć oraz mieszkanie otrzymałem na parterze.

Trzecią osobą, która wystąpiła z pismem przeciw zatrudnieniu mnie był Marian Woronkin. Ja i kilka innych osób zgodnie doszliśmy do wniosku, że obie w/w panie po prostu kazaty Woronkinowi podpisać więc on podpisał. [...] Najboleśniej jest fakt, że tak Ob. Kotowska jak też i Ob. Ciupa podawali mi różne powody zwolnienia, po podważeniu których przyjęli jeden: współżycie międzyludzkie. [...] Gdy wpłynęła skarga Ob. Ciupa skorzystał z okazji i pozbył się pracownika, by nie tłumaczyć się dlaczego przydzielił mieszkanie wbrew przepisom. Wtedy gdy powstawało w/w województwo każdy był potrzebny, a

teraz po co. Tym niemniej, wojewoda winien mi zapewnić pracę w Łomży zgodnie z posiadanymi kwalifikacjami i dwudziestoletnią praktyką w produkcji, nadzorze i administracji, do czego się zobowiązał po bezzasadnym zwolnieniu mnie».

Wicewojewoda Ciupa, „naciskany” przez inżyniera, wymyślił, że jakiś etat geodety miejskiego można by dać wojewódzkiej geodezji dla Ciburowskiego. Inż. Switajewski, który miał zostać nowym dyrektorem WBGiK, nie wyrażał sprzeciwu, ale gdy przyszedł do pracy, zorientował się od razu, że będzie to niemożliwe. Wszystkie organizacje społeczne i polityczne ostro za protestowały. Dyr. Switajewski nie chciał zaczynać nowej pracy od konfliktów i nieporozumień, co sta-

rał się wytłumaczyć koledze Ciburowskiemu. Rezultat tych tłumaczeń był taki, że Ciburowski zaczął go podejrzewać o przyłączenie się do „mafii”.

Opinia człowieka, który sieje konflikty, zaczęła iść za Ciburowskim chyba dopiero po jego zwolnieniu. Swoim zachowaniem i programową nieufnością w pełni na nią zasłużył i zraził do siebie prawie wszystkich, nawet bardzo mu życzliwych, ludzi. Mgr Piorun z głównego Urzędu Geodezji i Kartografii, który przeprowadził kontrolę Biura, powiedział: — Wymówienie było uzasadnione m.in. niefachowością. Ciburowski poczuł się urażony i poprosił nas, jako najbardziej kompetentnych, na kontrolę, ale myślę, że byłoby ładniej, gdyby zwrócił się z tym do nas, wojewody Ciupy, i to przed podpisaniem zwolnienia. Nie byliśmy łagodni i pobłażliwi, ale kontrola wypadła dobrze. Ciburowski nie jest na pewno orłem na skalę kraju, ale jest bardzo dobrym fachowcem. Nie potrafi jednak utrzymywać poprawnych kontaktów z ludźmi, prawdopodobnie ze względu na swoją apodyktyczność. Obawiam się, że w Łomży nie będzie miał szans na zatrudnienie. Zwróciliśmy się do prezesa Adamczewskiego o ułatwienie mu wyjazdu na dwa-trzy lata do Nigerii. Pracę w Jedwabnem powinien traktować jako poczekalnię przed zagranicznym kontraktem.

Jednak Henryk Ciburowski wcale nie ma ochoty siedzieć spokojnie w tej poczekalni. Zabiega o powrót do WPBiK, przekonuje wszystkich o swojej niewinności, nikomu nie wierzy, wszystkich podejrzewa o złą wolę i chyba coraz bardziej pogarsza swoją sytuację.

— Ta jego podejrzliwość — tłumaczy Zofia Dąbrowska — to chodzenie, niuchanie, szukanie winnych we wszystkich, tylko nie w samym sobie, jest nie do zniesienia. Uważam, że największą krzywdę wyrządzono mu w roku 1975, kiedy otrzymał stanowisko dyrektora, na które nie miał (i nie ma) predyspozycji. Dyrektor powinien być dobrym organizatorem pracy i umieć łagodzić konflikty pracownicze, a nie je wzniecać.

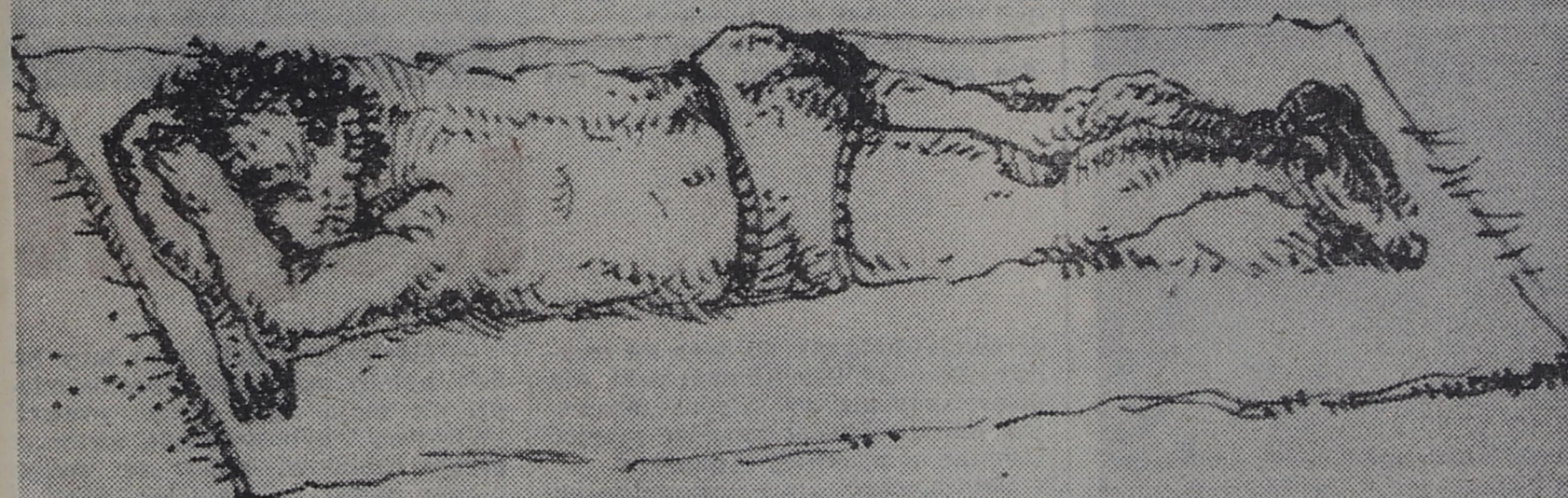
Dyrektor Łaguna z Wydziału Kontroli i Instruktażu UW: — Ciburowski twierdzi, że to wszystko przez złośliwość dwóch kobiet. Nie sądzę. Najbardziej mnie zaskoczył swoim, bardzo złym, zdaniem o podwładnych. Nie wyobrażam sobie dobrej współpracy dyrektora z pracownikami, o których wydaje tak negatywne opinie.

Bardzo wstrzemięźliwie, a jednocześnie trafnie, podsumował swoje spostrzeżenia na temat Henryka Ciburowskiego jego bezpośredni zwierzchnik w latach 1976—1980, inż. Tadeusz Słojewski: — Pracowało mi się z nim bardzo dobrze. Ma specjalny sposób bycia. Nie można go się pozbyć tak długo, aż sprawy nie załatwi. Był natarczywy nie tylko w załatwianiu swoich potrzeb, lecz również wszystkich geodetów. Ma kłopoty z wysławianiem się i nie wszyscy rozumieją, o co mu chodzi, stąd wynikają pewne komplikacje. Dziwię się jednak, że tak wytrwale chodzi koło swego powrotu. Dziś nie jeden dyrektor został zwolniony; wielu skrzywdzono. Sami odchodzą. Często w imię wyższej sprawy.

* A może Ciburowski walczy o powrót też w imię jakiejś wyższej idei: honoru, sprawiedliwości? Ten upór przynosi już niemałe rezultaty: centralnie potwierdzono jego fachowość, Spółdzielnia Mieszkaniowa postanowiła nie skreślać go z listy członków, 16 października CKKP pozytywnie rozpatrzyła jego odwołanie od nagany udzielonej przez WKKP. Najbardziej jednak zaskoczył mnie oświadczeniem, że sprawę odda do sądu, a do Biura musi wrócić. Spytałam go wprost: — Naprawdę mógłby pan wrócić? Nie czułby się pan głupio w jednym pokoju z tymi, których pan podejrzewa o zmontowanie akcji zrzućcia pana z dyrektorskiego stolka?

Spojrzał na mnie nieufnie i odpowiedział pytaniem: — Czy pani naprawdę uważa, iż tylko dlatego, że moja twarz nie podoba się dwu osobom, ja będę jeździł do pracy w Jedwabnem?

Rys. Antoniego Kowalskiego





Górki Sypniewo pogrążyły się w marazmie jak wiele innych łomżyńskich wsi. Jesienna słota przybiła je do ziemi. Lśnią tylko kocie łby, ułożone jeszcze za czasów sanacji, gdy wójtom rogiennickiej gminy był tutejszy mieszkaniec, Józef Smiarowski, jeden z entuzjastów koła ZMW „Wici” w latach trzydziestych. Jego żona, Józefa, powiada o tamtym okresie: — Młodzież przed wojną i dzisiejsza to niebo a ziemia. Wtedy organizowała nam konkursy, a za pierwsze miejsca dawała dobre sadzonki drzewek owocowych: złotą i szarą renetę, kłapsy. Nagrodę mógł zdobyć każdy, kto godził się na hodowlę zielononózek, bardzo wydajnej rasy niosek. Należało je karmić według podanej receptury, a po roku komisja podsumowywała wyniki. Teraz nikt nie chce pomyśleć, dlaczego nie ma jaj, tylko każdy psoczy na chłopów: nie chce sprzedawać, zatrzymuje sobie. W ubiegłym roku kupiłam spod inkubatora 50 kurczaków. Wyrosło z nich 49 kogutów i tylko jedna kura. Skąd mam wziąć dla miasta jaj? Koguty mi ich nie niosą. Młodzież rozpowszechniała też nowe odmiany krów i świń.



Do rozmowy włącza się syn: — Filia SKR-u w Dobrzyńskowie to kompletny cmentarz, a jego pracownicy są typowymi biurokratami. Zresztą, nie tylko oni. Pełno ich także w gminie. Nauczycieli tylko przytakiwać i udawać, że wszystko wiedzą. A wyciągniesz papiera, robią się dobrzy, choć do rany przyłoż. Żadnej godności urzędniczej, żadnego autorytetu, ale też ani odrobiny szacunku dla chłopów.

Smiarowscy słyną we wsi z kultuwowania tradycji patriotycznych. Senior rodu, Józef, walczył o Polskę w 1918 roku jako ochotnik. Wiele zdrowia stracił na froncie. Jego następcą też dla kraju niczego by nie odmówił, ale jeśli te urzędnicy drażnią się z chłopem — ciągną tylko do miasta, a na wieś nie — to on ryje zamknął w obozie i bierze ich na przetrzymanie. Czy bez racji? Parnik mu się przepalił, nie ma w czym gotować ziemniaków. W sklepie ani gwoździ, ani kawałka łańcucha, nie mówiąc już o takich rarytasach, jak maszyny rolnicze, meble do nowego domu, węgiel na zimę. Gdyby tylko takie miał utrapienia! Oto chciałby się żenić, lecz kandydatek we wsi ani na pokaz. Wszystkie zachciały lekkiego chleba i wyniosły się do miasta. „Trudno — powiedział sobie — będę sam, ale wsi nie opuszczę”, i zapisał się do „Solidarności” Rolników Indywidualnych, bo w tym związku dojrzał się autentycznie broniący chłopskich interesów i budzący ich świadomość.

Mówi z goryczą: — Po co to było

robić u nas czyny partyjne w niedzielę, gdy tu wszyscy ludzie chodzą do kościoła. Chcieli drwić z religijnych uczuć? Sam raz musiałem w tym uczestniczyć, bo naczelnik powiedział mi: dostaniesz grzejniki, jeśli pomożesz nam w społecznych pracach na rzecz swojej wsi. Zgodziłem się. Potem przez kilka dni nie dało mi spać moje sumienie. Obiecane grzejniki jakoś wycygałem, ale nie miałem z tego powodu żadnej uciechy. Musiałem dać za nie część moich przekonań.

Innym razem znów stwierdza: — Nie winię rządu. Widać, że chce wyciągnąć kraj z kryzysu. Ja tam dla Polski mógłbym wszystko, tak jak mój ojciec.

Junior Smiarowski wadzi się z przeciwnościami swego losu i z samym sobą. Skarży się na wszystkich, a w sobie widzi tylko cierpiącego chłopca, bezsilnego wobec rządów gminy, eskaerowskiej administracji, zaniku społecznego życia we wsi.

W domu Żelechowskich nieraz dochodzi do pokoleniowej wymiany poglądów. Rodzice, Irena i Stanisław, bawili się w aktorów odgrywających popularne

Pani Eugenia twierdzi, że dom ludowy, po którym już nie ma śladu, powinien być ich, zaś „wiciowcy”, że inicjatywa wyszła od nich i stanowią ukoronowanie zetemwue-mowskiej działalności. Wieś dzieli się na dwa obozy. Jedni trzymają stronę „wiciowców”, drudzy — pani Eugenia. Niektórzy chłopcy mówią, że przyczyną konfliktu było co innego. Zartują, że „wiciowcy” przeciągnęli wszystkie dziewczyny z Katolickiego Stowarzyszenia do swego koła. Ale kto to może stwierdzić na pewno? Z czasem ciekawe wydarzenia obrastają legendą, zacierają się rysy prawdy.

Nie ma w Sypniewie takiej zagrody, w której nie byłoby drzewek owocowych. Nie są to te same, które przed laty rozpowszechniali „wiciowcy”; tamte spaliły się w czasie wojny, poschły zmarniały. Ale — jak powiada stare porzekadło — rolnicy nasiąkli za młodu ideą sadownictwa i przekazują ją następcom. Szkoda tylko, że muszą kupować obecnie przypadkowe sadzonki. Gdyby ktoś im pomógł, jak przed wojną, nie jeden gospodarz miałby już szlachetny sad. Lecz dzisiaj nie ma Okręgowego Towarzystwa Kolek Rolniczych, które pokrywało dwie trzecie ceny sadzonek, nowych odmian kwiatów ogródkowych, nowych ras świń i krów. SKR-y ledwo zipią. Same bardzo chętnie złapałyby gdzieś jakąś zapomogę. Koło ZSMP to nie dawne koło ZMW „Wici”. Myśli o działalności, lecz przede wszystkim rozrywkowej. Nie w jego aktywie roodzi się myśl dopinowania gminnej służby rolnej. Kto by się tam zajmował popularyzowaniem hodowli kurcząt? Owszem, robi się jakieś olimpiady wiedzy rolniczej, po których można włączyć młodych rolników do grona specjalistów i zapewnić im liczne przywileje, ale podejmowanie akcji, z której owoców skorzystałby ogół wsi, przerasta wszelkie możliwości.

Stanisław Kołakowski zapala papierosa. Was solidny, szlachetki, sięga prawie do połowy policzka. — My, panie — mówi — wywodzi się od tej zagonywej. Nigdy nie daliśmy sobie w kasę dmuchać i teraz nie damy.

Jego wnuczek nie słyszał o Ignacym Bukowskim. Pyta: — A czy był u nas jakiś dom ludowy?

Babcia próbuje zatuszować niewiedzę swego ulubieńca: — U nas

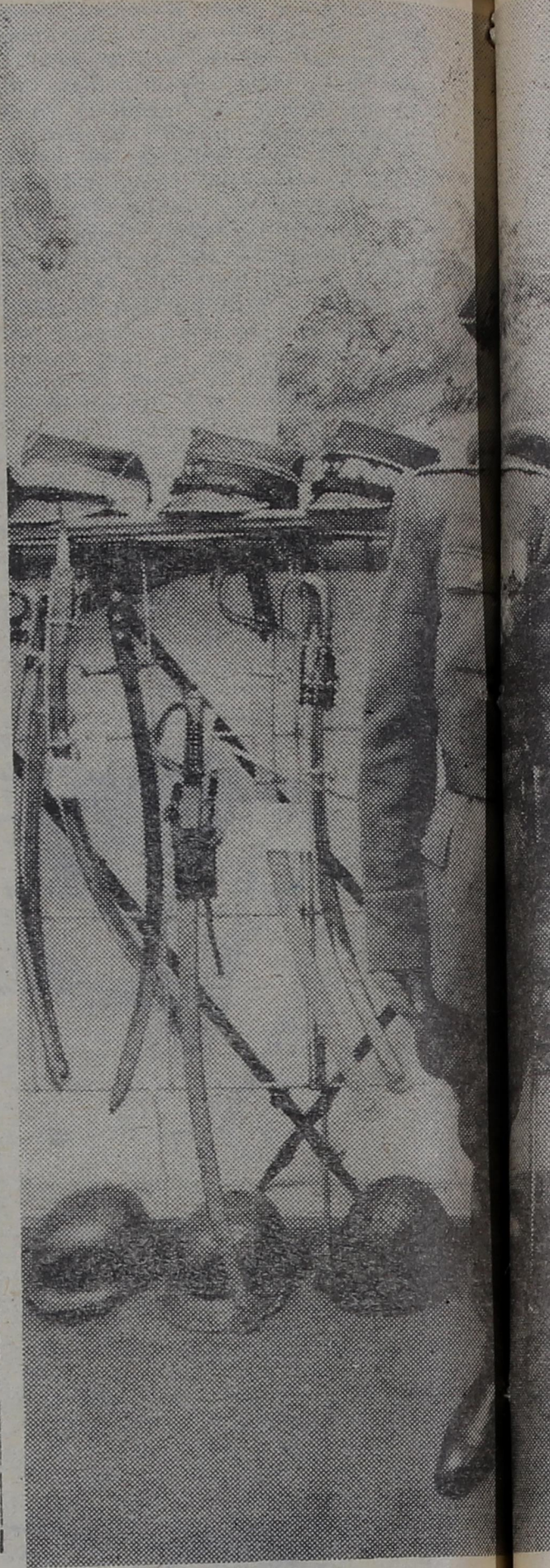
drzewniej było tak: do kogo się zeszliśmy, tam robiliśmy potańcówki. Ale dziewczyny nie tak szły na zabawę, jak dzisiaj. Musiał kawaler przyjąć i matkę o pozwolenie poprosić.

Babcia, choć liczy osiemdziesiąt lat, zna historię wsi bardzo dobrze. Powiada: — Kawalery z Kobylina do nas nie przychodzili, bo myśmy ich nazywali kawkami. Byli takie drobne. Największe kosza ponosiła panna na Nowy Rok. Częstowała najładniejszych przez siebie pieczonym ciastem. Ile było wcześniej próbowań, doradzania mamy! Niejedną blacha ciasta była „niedobra” i zjedli wszystko sami domownicy. — Uśmiech babci nagle znika. — Niech pan mi powie — mówi ścisłym głosem — gdzie można znaleźć tego, który nam tak pięknie w telewizji opowiadał o drugiej Polsce? Chociaż mam już tyle lat, jeszcze bym mu pokazała, gdzie raki zimują!

Odpowiadam z zażenowaniem: — Nie wiem, gdzie pani raki zimują, i nie wiem, gdzie on może być.

Wychodzę na drogę. Po obu stronach płotki, przeważnie ze sztachet. Gdzieś tam wznosi się piękna piętrowa willa, współczesny wiejski dom. Próbuje odszukać Stanisława Radziszewskiego, który niegdyś był prawą ręką przewodniczącego koła ZMW „Wici”. Ignacego Bukowskiego, i trzymał u siebie klucz do domu ludowego. Drzwi otwiera starsza pani i oznajmia, iż gospodarz pojechał na cmentarz.

Po przeciwną stronę — zamknięty na cztery spusty — Klub Prasy i Książki „Ruch”. Obok, z zardzewiałą tablicą, remiza strażacka, prawie naprzeciwko — punkt skupu mleka. Rolnik pędzący osiem ogonów informuje, iż na temat działalności koła ZMW „Wici” mam porozmawiać z Ignacym Bukowskim. Jego tu nie ma. Czasami przyjeżdża, lecz najczęściej można go zastać w Łomży.



koguty

— Gdyby dziś byli tutaj tacy ludzie, byłaby inna wieś. Obecnie młodzieńcy nie mają się z czym równać. „Wiciowcy” byli w stanie wytoczyć proces rolnikowi, który ze swoim plotem wlaź na kawałek drogi. I wie pan, że wygrywali? Musiał im jeszcze zapłacić 80 złotych.

Krowy rozchodzą się na boki. Gospodarz w śpieszu pędzi za ostatnią: — Gdzieś poszła, gdzieś poszła! Spodobały się jej gałązki z ostatnimi listkami listopadowej jesieni.

Drogi należy wsi zazdrościć: bruk ułożony równiutko. Dalekie od tej doskonałości są choćby łomżyńskie chodniki. Czy przedwojenne pokolenie było dokładniejsze? Bardziej cenilo pracę? Liczyło się z tym, że w każdej chwili może ją utracić?

Na podwórkach wszędzie pełno błota, trzeba zachylać nogawki. Tu bylećw weale to nie dziwi, bo tyle mają go co roku.

Wyjeżdżam do Łomży z pytaniem, dlaczego przez tyle lat nikt nie poprosił Eugenii Rogalskiej na wieczór wspomnień? Nikt nie złożył tej propozycji także Ignacemu Bukowskiemu. Nikt także nie zajrzy do nich, nie dowiódł się, jak żyją.

Państwo Rogalscy samotnie prowadzą gospodarstwo rolne. Starają się, jak mogą. Musieli w poprzednich latach odsprzedać trochę ziemi, bo już na obrobienie całości sił brakowało. Wynajmować nie chcą, bo prawie tysiąc za dniówkę nie zapłacą. Ich drewniana chałupinka coraz głębiej wrasta w ziemię. Oparli się w swej rodzinnej wsi wszelkim wpływom złego czasu. Nie wykurzyli ich w latach pięćdziesiątych spółdzielnia produkcyjna, nie zdemoralizowała ustawa o emeryturze. Górki Sypniewo to cały ich świat.

Kto przechodzi obok posesji Ignacego Bukowskiego, może go posadzić o bogactwo, bo kraty w oknie ma niczym w banku. Nie szczyca się takimi nawet parte-



ponacie starannie wypisana karteczka, np.: *Szabla austriacka na wyposażeniu polskim, używana do 1939 roku, Pruska szabla na temblaku*. Na jednej z nich pięknie wryty napis, biegnący wzdłuż ostrza: *Amor patriae nostra lex, co znaczy Miłość ojczyzny naszym prawem*. Dalej szabla oficera kawalerii z roku 1917. Tym różni się od poprzednich, że jest mocniej zaokrąglona, z koszem u mosiężnej rękojeści. Obok — podoficerska; słabszy metal, mniej gustowne wykonanie. Jest lżejsza, ma niklowaną rękojeść. Są też szable z czasów Wilhelma II.

Przy oknie, ułożone na metalowych stojakach, klasyczne siodła ułańskie: polskie, kanadyjskie, rosyjskie. Niektóre z nich były używane przez żołnierzy polskich w ZSRR. Na regale dwóch mosiężnych piechurów pełni straż przy Marszałku Piłsudskim. Niżej, na półce, jego „Pisma, mowy i rozkazy”. Podobnych unikatów można tu znaleźć więcej: „Pisma zbiorowe Józefa Piłsudskiego”, album „15 Pułku Ułanów Poznańskich”. Na sąsiedniej ścianie historyczne egzemplarze odznaczeń wojсковych, kilka wersji Krzyża Wirtuti Militari. Dnia mało, by to wszystko poznać.

Jak to zgromadził? Przez ile lat? Gospodarz popada w chwilową zadumę: — Podczas pracy w Technikum Weterynaryjnym w Łomży pomyślałem sobie, czy nie zacząć zbierać, walających się po różnych domostwach, owych śladów naszej historii. Nosilem się z zamiarem zorganizowania szkolnej izby pamięci. Przygotowałem już wystawę, lecz dyrektor odmówił przeznaczenia mi na ten cel stałego kąta. Postanowiłem zrobić ją w swoim mieszkaniu. Pomagała mi młodzież, którą uczyłem historii, sąsiedzi, znajomi. Podpowiadali, gdzie co jest, a ja jechałem i dogadywałem się. Przeważnie kupowałem za bezcen. Dopiero w ostatnich latach każdy przedmiot urósł w cenę. Zżyłem się już z nimi i za nic ich nie sprzedam.

Pytam o czasy działalności w ZMW „Wici”. Gospodarz przez chwilę zastanawia się, jakby nie wiedział, od czego zacząć.

— Najwięcej kłopotu mieliśmy z budową domu ludowego. Chciała wesprzeć nas gmina w Rogieniach, ale i od siebie uzależnić. Proponował składkę proboszcz, ale też chciał go użytkować, a my postano-

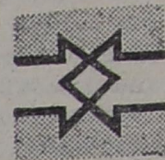
wiliśmy mieć coś własnego. Przenaczyliśmy na jego budowę dochody z zabaw, z komedijek, darowizny. Poparli nas koledzy niezrzeszeni. Gdyby nie wojna, pewnie stałby do dzisiaj. Odbływały się w nim wesela, chrzciny, zabawy, próby, nasze zebrania.

Wspomnień Ignacego Bukowskiego o działaniu ZMW „Wici” słucham z niedowierzaniem. Jakże to: przyczyniali się do wymiany świni ostrouchych na duże angielskie, a słabych odmian ziemniaka — na waldmanny, zawierające wyjątkowo dużo skrobi? Organizowali konkursy chowu inwentarza i na najlepsze ogródki? Założyli punkt skupu Spółdzielni Mleczarskiej „Zdrowie” wskutek czego wieś nie musiała już dowozić mleka do sąsiedniej Kisielnicy, a do chłopskiej kieszeni wpływało dodatkowo ponad dwieście złotych miesięcznie?

Pan Ignacy śmieje się z moich dociekań: — Przecież wszystko było naturalne. Robiliśmy to, co wydawało się nam najbardziej potrzebne. Teraz narodziny organizacji wyglądają inaczej. Najpierw się walczy o jej zarejestrowanie, nazwę, statut, a potem o samochody, fotele, biurka i etaty. Myśmy się skrzyknęli, zrobili zebranie i ruszyli do dzieła. Poparli nas sołtys i wójt. Krzywo patrzył proboszcz. Czasami, na znak protestu, nie zachodził do naszych domów po koledze, nie poświęcił jaj na Wielkanoc. Szczególnie mnie krytykował za to, że na kursach przysposobienia rolniczego robiłem dziewczynom wykłady na temat świadomego macierzyństwa. Po jakimś czasie z naszym istnieniem się pogodził. Widocznie doszedł do wniosku, że nie robiliśmy nic złego.

O dzisiejszej młodzieży Ignacy Bukowski mówi, że jest niewyrobiona. Ponadto brakuje jej inicjatywy i zapалу. Jest jakby przygaszona. Opinię tę wyniósł, między innymi, z ostatniego spotkania pokoleń, jakie 28 października br. zorganizował w siedzibie Wojewódzkiego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych ZW ZMW. Spodziewał się słów ambitnych i gniewnych. Tymczasem młodzi scedowali inicjatywę na weteranów ruchu młodzieżowego na wsi. „Wiciowcy” nie mogli wyjść z podziwu; oni w swojej młodości tak łatwo by z pola dyskusji nie ustapili.

spiećcia



9
KONTAKTY
22.XI.1981

Marian Ramotowski z Męczek gm. Wizna miał obiecany eternit na pokrycie obory — wyznaczono nawet termin odbioru. W przeddzień zawitał jednak w progi gospodarza naczelnik Eugeniusz Tyszkowski. Usiadł i czeka. Na co — nie wiadomo. Wiadomym natomiast stało się wkrótce, że eternitu nie będzie, bo zabrakło. Nie dziwny się zbytnio. Bo jeżeli do kogoś przybywa osoba urzędowa, siada i czeka, to ten u kogo przysiadła powinien domyślić się na co czeka. Nawet jeśli sam czeka na coś zupełnie innego.

Większą znajomością losowych znaków wykazał się natomiast sołtys tejże wsi, którego społeczna komisja nie umieściła na liście przydziałów maszyn rolniczych. Fokuspokus i przeskoczył na listę otrzymujących roztrząsacze jednoosiowe do gnoju wprost do WZSR w Łomży, na miejsce siódme, mimo że rok wcześniej otrzymał maszynę bliźniaczo podobną. Naczelnik, wysłany do Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Rolniczych miał kłopoty z wyjaśnieniem przyczyn tego skoku. Gdy się ma na co dzień do czynienia z gnojem, łatwo zapomnieć jak odróżnić co czyste, a co takie sobie.

Od początku roku nikt z bloków przy ulicy Staffa w Łomży nie płaci za prąd. Powód — brak liczników. Mieszkańcy węszą w szafowaniu darmową energią podstęp: administracja czeka na noworoczny prezent od św. Mikołaja w postaci wyczarowanego z sufitu rachunku. Nie dają się przekonać (próbowaliśmy), że zwolnienie od opłat za energię jest bezinteresownym dowodem wdzięczności, że raczyli tam zamieszkać.

Zycie maluje ostatnio niezgorzej od Mistrza Matejki: w Nowogrodzie kolejkowicze zbuntowali się przeciwko zostawieniu na zapleczu całego przydziału szynki dla miejscowych nauczycieli. Ekspedientka — damski Rejtan: — Takie mam zarządzenie prezesa GS i możecie mi skoczyć! Zdrajca — naczelnik skoczył i wywłókł wszystkie szynki na pożarcie zwykłym kartkowiczom.

W Morgownikach zapaliła się stodoła. Gdy strażacy kończyli już akcję zaczęła płonąć następna, oddalona o około 200 metrów, choć wiatr wiał akurat w przeciwną stronę. Ogień ani myślał natomiast tknąć trzeciej — stojącej między już nadpaloną, a ochotniczką do spalania się. Że ludzie są wyrafinowani, to żadne odkrycie, ale że rzeczy martwe...

W Urzędzie Miasta i Gminy w Wysokiem Mazowieckiem „Interesantów załatwia się w poniedziałki (...)” W pozostałe dni tygodnia — jak można się domyśleć — robią to samodzielnie. Chyba że nie przyprze.

Wiceprezes WSS Wiesław Dębiński nasprowadzał do łomżyńskiego wszystko, co dało się uzyskać w centralnych hurtowniach: kakao holenderskie, herbatę angielską, paprykę bułgarską, koniak albański i węgierski. A nienasycony dalej skarży się, że zaopatrzenie jest pod zdechłym psem Krajowym.

Na Placu Niepodległości nadnawiańskiego grodu przemysłna konstrukcja metalowa, która była podstawą łomżyńskiego sukcesu, zawaliła się ostatnio pod naporem wiatru. W taki oto sposób zostaliśmy pozbawieni ostatnich osiągnięć.

aj nie niosą

rowi lokatorzy w łomżyńskim osiedlu Południe, jubilerzy, badylarze. Zdumiewa mnie ta wielka ostrożność gospodarza. Czegoż się obawia na zapleczu łomżyńskiego śródmieścia, po którym od czasu do czasu przeturla się jakaś furmanka, przejeżdża czerwony autobus. W sadzie już drzewa pogubiły liście, i gdyby nie białe chryzantemy, byłby zupełnie szary.

Gospodarz śmieje się na samo wspomnienie tematu: — Szukał pan śladów mojej działalności w Górkach Sypniewie? Teraz tam spokój. Czasami zabębni dyskoteka, poleci gdzieś przypadkiem rzucona butelka. To już nie to, do czegośmy zmierzali. U nas też chcieli się czasami bić. Zwyczaj ów był niemalże plagą. Chłopaki z jednej wsi szli do drugiej, trzeciej, dyktowali orkiestrze, co ma grać, uczestnikom zabawy, jak mają tańczyć; szły w ruch sztachety, trzeszczały płoty. Ale po pewnym czasie zaprowadziłem dyscyplinę. W Górkach Sypniewie zawsze na zabawie musiał być porządek. Nikt nie mógł zamawiać tańców u orkiestry, bo takie prawo miał tylko wodzirej. On wydawał grającym polecenie, gdy na salę wchodziła grupa młodzieży z sąsiedniej wsi, powitania ich marszem, a na koniec — pożegnania. Nosił z lewej strony kolorową kokardę i łatwo był zauważany przez każdego uczestnika zabawy. On także odpowiadał za bezpieczeństwo obecnych. Bilet kosztował od półtora złotego do dwóch, ale w programie była też komedijka którą grali nasi aktorzy. Ról przeważnie uczyli się zimą, wiosną i jesienią. Wystawialiśmy je na okragło w swojej wsi, w sąsiednich.

Pokój Ignacego Bukowskiego przypomina salę muzealną: na ścianach pełno militariów, mundurów polskich żołnierzy z różnych epok, lanc ułańskich i szabel. Przy każdym eks-



KWIATEK DO KONTUSZA

Coraż częściej w tekstach o literaturze rozprawia się nie o dziełach, a o samych literatach. W tej sytuacji nawet łomżyńska literatura ma poważne szanse na zdobycie *publicity*, oczywiście — głównie dzięki sesji „Być poetą”.

I mnie coś skapło — powiada „Stryjec”. Otóż w Łomży poznałem dwie różne osoby literackie, obie ze znaczkami „Solidarności”, ale jedna skarżyła mi się na drugą; dyskretnie, bez wymieniania nazwisk, lecz opis był tak plastyczny i precyzyjny, że bez trudu mogłem zidentyfikować osobę, o którą chodziło. Obaj panowie N. stale współpracują z pismami mającymi bardzo nielubianych szefów.

Dwaj panowie od nielubianych szefów w Łomży, plus świat kulturalny Łomży oraz aktyw, który wypina pierś, gdy chodzi o pokazanie w telewizji, a zupełnie inną część ciała, gdy mowa o pracy lub kwalifikacjach — oto temat godny pióra Sałtykowa-Szczedrina. Przypuśćmy, że stąd mogłaby powstać jakaś „współczesna idylla”.

Pan N. 2, sekowany, podobno od początku nie figurował na liście zaproszonych. Po wielu interwencjach udało mu się uzyskać zaproszenie. Pocieszał się tym, że nie otrzymał zaproszenia jeden z „żagarystów”, ergo przyjaciel Miłosza z

ma, jednak uznawany za swego, a więc z tych, którym się wiele wybaczę. Ale pan N. 2 nie mógł wybaczyć red. N. 1 tego, że po wydrukowaniu wspomnianej wypowiedzi, okrojonej trochę przez cenzurę, ale buńczucznej i zadziornej, z pewnością autentycznej, N. 1 w kawiarni Związku Literatów nawzywał N. 2 od... socrealistów.

Powód N. 2, oprócz wydania pozytywnej opinii o Miłoszu (rok 1976), stwierdził, że pochodzi z klasy robotniczej, którą — niestety — u nas zna się bardzo słabo. Z tej pozycji proletariackiego intelektualisty N. 2 uważał kulturę telewizyjną, serwowaną klasie robotniczej, za prawdziwą obelgę. Argumentację wydukał. Cud, że cenzura zgodziła się na to wydrukowanie. Cud graniczący z faktem. Myślę, że warto się nad tą drobnostką zastanowić. W przeszłości nie wszystko było tak godne potępienia, jak to się wydaje świeżym hoplitom odnowy. Pan N. 1, oczywiście, o Miłoszu przed Sierp-

polskie
pozy

lat studenckich. Tzn. „przyjaciół” ów zaproszenie otrzymał, ale do zaproszenia dołączono listę zaproszonych, z której wynikało, że tak naprawdę — nikt nie oczekuje jego przyjazdu; na tej liście bowiem „żagarysta” nie figurował. I tu maleńka dywagacja *pro domo mea*: Łomża ma spore zasługi w krzewieniu dyplomacji o d m o w y (uwaga, korekta!). Właśnie dzięki liście udo-bitniającej, że zaproszony nie jest zaproszony. To zupełnie inna forma. Ale czego nie wymyśli rozwydrzony poetas lub urzędas. Tradycyjnie zaproszenia do niechcianych wysyłano na „pięć minut przed dwunastą” lub nawet po imprezie, na której miał być niechciany. Opóźnienie szło — jak głosi tytuł świetnej austriackiej powieści — na konto listonoszy. Początek, komunikacja, informacja, to ówczesni chłopcy do bicia.

Prawdziwa i zweryfikowana lista zaproszonych, dołączona do zaproszenia, stanowi istotny postęp w sztuce o d m o w y. Jest jednocześnie bardziej moralna, bo niczego nie zwala na konto — Bogu ducha winnych — listonoszy, i zarazem bardziej dotkliwa. Mocniej rani. A gdy sprawa trafi na jakiegoś zadufka czy uparciucha, można się gładko wycofać, przeprosić, powiedzieć, że lista, to nieporozumienie lub wstępny projekt. Tak też zrobiono z „żagarystą”.

Ale N. 2 takiej satysfakcji nie miał. Za całe zadowolenie musiał mu starczyć fakt, że wśród neofitów i świeżych przyjaciół wielkiego człowieka należał do nielicznego grona tych, którzy nie przyszli do winnicy po niezaskuszoną zapłatę. Jeszcze na kilka lat przed nagrodą Nobla, nawet nagrodą Neustadt, publicznie oświadczył: „Miłosza cenię za *ethos*...” (cytat sprawdzony, źródła nie podaje, gdyż ułatwiłoby to identyfikację). I cenzura mu to puściła. Szczęściar, a jednak okazało się, że nie szczęściar, bo potraktowano go jak powietrze.

Wśród sekujących znalazł się również N. 1 z innego nielubianego pis-

niem u nas nie pisał, a jeśli pisał, to mu tego nie drukowano. Przypuszczam, że Miłosza czytał. Lubił bowiem noblistów. Sam kiedyś widziałem, jak w jednej z warszawskich księgarni przeglądał książkę pastora Martina Luthera Kinga. Ze zalecani? A czyż Miłosz dziś nie jest zalecany? I również trudno dosięgnąć, że piętnastoprocentowe zaspokojenie popytu na książki Miłosza skłania do wcale niewesołych refleksji.

Wróćmy jednak do naszych łomżyńskich protagonistów, do dwóch niezadowolonych panów, płynących w jednej łódce po wzburzonym morzu zachwyty. Okazało się, że obaj nie otrzymali zaproszenia na wszystkie imprezy. Organizatorzy zaproponowali aż cztery stopnie wtajemniczenia. Pierwszy: recytacje Olgerda Łukaszewicza. Drugi — sesja literacka w jedynej posiedzeniarskiej sali Łomży: w auli Technikum Budowlanego. Trzeci — spotkanie twórców i działaczy kulturalnych z laureatem. Czwarty (najwyższy limit, głoszące ściśle ograniczona plus zorganizowana konsumpcja) — tzw. „Spotkanie Przyjaciół”. Wypadałoby scharakteryzować wszystkie stopnie. Pierwszy — prawie ogólnodostępny — przeznaczony wyraźnie dla pospółstwa i zdolniejszej młodzieży tubylczej, znacznie zaniedbanej przez archaiczny program nauczania literatury ojczystej. Drugi — dostępny dla ogółu literatów, niekoniecznie przyjaciół, naśladowców czy egzegetów pism (prawie) naszego łomżyńskiego laureata. Wiadomo zaś, że nie wszyscy inżynierowie dusz, lubią słuchać i mówić o literaturze. Siły literackie wzmocniono powagą urzędów i ciekawością prasy, delegując do Łomży swoich licznych przedstawicieli, głównie w osobach fotoreporterów, których organizatorzy uprzedzili, że o fotografowaniu nie ma mowy. Trzeci stopień to kuluary drugiego o znacznie ograniczonej liczbie miejsc (metraż nie ten), przy czym postarano się,

aby reglamentacja objęła głównie literatów. Czwarty stopień stanowi prawdę tajemnicę. Gościnnie skansen oglądał: przyjaciel Czesława Miłosza z czasów młodości, wielu znanych pisarzy, organizatorów, sporo rodzimych łomżyńskich notabli, którzy na tę okazję zostali wiliukami z dziada pradziada.

Oferta organizatorów przewidywała wiele urozmaiceń w składzie społecznym i dystrybucji zaproszeń. Naturalnie, nie wymieniam wszystkich imprez, tylko imprezy-symbole. Takie np spotkanie w WDK: kopia wydarzeń z „Bonara”? Nie, bo niewiele brało udział w obu spotkaniach. Kogoś, mimo zaproszenia, nie wpuszczono. Kogoś wpuszczono bez zaproszenia, i to „na oczach” tego, którego nie chcieli wpuścić. Instrukcje dla bramkarzy zmieniały się jak rękawiczki. Prawie nikt nie miał całego pakietu zaproszeń. Ale i hierarchię dziobania wyraźnie naruszono. Jedni mieszkali w „Polonezie”, drugich ulokowano (w miejscu niewatpliwie ideowo lepszym) w hotelu robotniczym. Aby utrudnić przyjazd niektórym gościom, zastosowano „specjalne efekty alimentacyjne”. Bo czyż literat dysponujący aktualnie trzecią czy czwartą żoną, przyjedzie na imprezę, na którą zaproszono jego pierwszą, w dodatku — osobę nie piszącą i nie działającą w Łomży? A jeśli ów literat zalega z alimentami? Toż cały dochód ze spotkania autorskiego może taka pani zarekwirować. Jakby w przewidywaniu tej ewentualności nie wszystkich uwzględniono w grafiku spotkań autorskich.

Jednak pomysł, żeby na Miłoszu zarobili inni, zrodził wiele konfliktów. Oto N. 2, krytyk, jeden ze znawców twórczości autora „Trzech zim” (ha, ha, stare nawyki działały!), odbył z N. 1 (sic!) następującą rozmowę.

- A ten co zrobił dla Miłosza?
- Nic.
- A co on w ogóle robi?
- Buduje się.
- No tak, z czego trzeba żyć

Cheąc odmienić nieco surrealistyczny ton dialogu, pospieszyłem z wyjaśnieniem: — Pisz wiersze.

- Gdzie?
- Teraz w Łomży.

— No, dobrze, ale co to ma wspólnego z Miłoszem! — zakrzyknęli obaj panowie N.

— Pisz wiersze w Łomży, a Miłosz w Kalifornii. Obaj piszą po polsku. Obaj są poetami. Stanowią żywą egzemplifikację hasła „Być poetą”.

Roześmiali się. W duchu pewno wzięli mnie za durnia. N. 2 najszczytniejsze sesyjne hasła potrafił wyszydzić. Miał nawet czelność zapytać o dorobek literacki Głównego Organizatora!

— Parę książek i kilka scenariuszy.

— Długometrażowych?

— Nie, krótkoterminowych. Np. na urządzenie milicyjnych izb pamięci. Uprawia też publicystykę. Np. przed VIII Zjazdem na łamach „Gazety Współczesnej” opublikował mini-traktat etyczny „Za szczęściem nie trzeba gonić”, w którym wyraził przejrzytą myśl, że społeczeństwo zbyt dużą wagę przywiązuje do dóbr materialnych i własnych wygod. A trzeba poprzestać na małym; dbać głównie o dobre imię i ludzki szacunek.

— Od VIII Zjazdu minął rok i kawałek. Miał czas na odnowę...

I zaczęli wybrzydząć, wydziwiać, aż wreszcie któryś z nich wpadł na pomysł, że po prostu chodziło o lepszą lokatę „nawisu”. Pod koniec grudnia forsy przeznaczonej na kulturę może już nie starczyć na papier do sprawozdań.

Zatem: mieliśmy Miłosza, sesję i wiosnę poetycką. Wypadliśmy lepiej niż Warszawa, Kraków, Lublin, Gdańsk. Znow jesteśmy pierwsi! Jak za czasów, gdy w Łomży organizowano terenowy oddział ZLP.

STRYJEC

Rys. Antoniego Kowalskiego

NA PIĘCIOLINII

anegdoty

Joachim Berendt, jeden z najwybitniejszych krytyków jazzowych, powiedział niedawno, że w światowym jazzie liczą się tylko trzy środowiska: amerykańskie, skandynawskie i polskie. Wielkie nazwiska, wielkie zjawiska, oryginalność, rewolucyjność i niepowtarzalność poszczególnych postaci. Na papierze trudno dokumentować dźwięk, można natomiast przytoczyć anegdoty, ale przecież i one w jakiś sposób świadczą o formacie człowieka. Wieniawa wjeżdżała na schody w „Adrii” ze słowami: „Skończyły się żarty, zaczęły się schody”, Jan Himilsbach pił gorzałkę przez dziurkę od klucza, inni robili jeszcze dziwniejsze rzeczy. Jazz jest muzyką tak zwariowaną, nietypową, że uprawiającym go ludziom muszą się przydarzyć przedziwne sprawy, bo jedno z drugim związane jest jak chleb z masłem.

Erroll Garner, nieżyjący już pianista amerykański, jeden z najwybitniejszych jazzmanów minionej epoki, w czasie grania pomrukiwał sobie bardzo głośno, i kto zna jego nagrania, wie doskonale, że nie było ani jednego utworu, który nie zostałby opatrzony takimi efektami. W późnych latach trzydziestych starszy brat Errolla grał również na fortepianie w podejrzanej speluncie, w której częstymi gośćmi byli przedstawiciele środowiska gangsterskiego. Otóż któregoś dnia brat zalał się w trupa, zaś gangsterzy chcieli koniecznie słuchać muzyki. Kiedy jeden z nich dowiedział się, że Erroll również potrafi grać, kazał mu usiąść do pianina. Jako argumentu przeciwko wystraszonemu chłopakowi użył rewolweru. Chłopak grał przez całą noc, wiedząc doskonale o tym, że jest na muszce. Grał i pojękiwał ze strachu. Zostało mu to na całe życie.

Jeden z największych saksofonistów jazzowych, Lester Young, zaczął swą karierę od perkusji, co nie szło mu najlepiej. Pewnego dnia bardzo wybitny krytyk muzyczny zapytał Younga, jakie to głębokie przyczyny estetyczne sprawiły, że porzucił on perkusję dla saksofonu. Muzyk odpowiedział: „Otóż wyobraź sobie, że perkusja ma bardzo ograniczony zasięg. Kiedy w czasie grania na scenie upatrzyłem sobie na widowni jakąś fajną dziewczynkę, a po skończeniu koncertu poskładałem bębny, już mi ją zwiłnął któryś z moich kolegów, trębacz, pianista albo saksofonista”.

Ponieważ jazz polski jest jednym z trzech liczących się na świecie, nie może być tak, by z jego ludźmi nie wiązało się coś ciekawego. Wiąże się, i to jak! Wszyscy doskonale widzą, że w środowisku istnieje powiedzonko: nie ma dżazu bez gazu — i jest w tym racja. Pewnego dnia bardzo znany jazzman polski, nazwijmy go X, przedawkował. Jednym ze sposobów dojścia do normy było dla niego zawsze golenie, a że rzecz działała się w hotelu, udał się do hotelowego fryzjera, usiadł na fotelu, pochylił się — rękami obejmując brzuch — i kazał się mydlić. Fryzjer, oczywiście, odchylił głowę X do tyłu, namydlł i poszedł ostrzyć brzytwę. X — rzecz jasna — natychmiast znowu wrócił do poprzedniej pozycji, bowiem nieprzyjemne łaskotanie w gardle wróżyć zaczęło kompromitację. Kiedy goli broda raz jeszcze odchylił mu głowę i pociągnął kilka razy brzytwą, brzuch nie wytrzymał i na lustro — oraz narzędzia pracy — spłynął potężny paw. Fryzjera zamurowało, zaś X wstał, wytarł namydloną twarz, rzucił golibrodzie pod nogi obrus i krzyknął: „Tak pan golisz, że się rzygać chce!”

Kiedys, latem, siedziałem z X w jazz-klubie „Akwarium” w Warszawie. Piliśmy herbatę. Kiedy w szklankach była już tylko połowa płynu, X wyjął z torby flaszeczkę, dopełnił szklanki gorzałką, stuknął łyżeczką i rzekł: „Trzeba pić, bo zima idzie”.

To było dwa lata temu, ale X był przewidujący, wyczuł dzisiejsze czasy. Niestety, jego prognoza ma obecnie pokrycie tylko w pięćdziesięciu procentach. Chociaż — jak słyszę — polski jazz nadal uważany jest za jeden z trzech najlepszych na świecie.

JAN JANUSZEK



KOMENTATOR: Teatr Naturalny Rozgłośni Polskiego Radia w Białymstoku przedstawia dramat socjalno-ideologiczny.

(Pukanie do drzwi)

REPORTER: Panie naczelniku, strasznie dawno pana nie widzieliśmy.

NACZELNIK: Przebywałem troszkę... z różnych powodów byłem za granicą.

REPORTER: Pan na placówce był, tak? I wycofali pana?

NACZELNIK: Nieee, raczej sam wróciłem, taki układ sytuacyjny. Przecież nie mogę pozostawić społeczeństwa, które mi powierzyło gminę.

REPORTER: Coś jakby pana trochę przytknęło?

NACZELNIK: Ponieważ cały szereg spraw nabierało się, w związku z tym różnych koncepcji. Już tych esów mam tak wiele... Chodzi o samorząd.

REPORTER: Samostój, na przykład, co to jest?

NACZELNIK: Przychodzi rolnik. Zrobił wykopki, zboże wymłócił, nie chce zdać części dla państwa; ziemniaki już zakopcował czy nie zakopcował, tytoń zebrał. Przychodzi, przed gminą sobie staje i kurczę, przeszkadza w pracy dla naczelnika i współpracowników. No, samostój.

REPORTER: A samotrzeć?

NACZELNIK: No, jak trzech stanie.

REPORTER: Ale pan chyba z tych wszystkich propozycji wybrał jakąś własną wizję. Na ile „S” pan by się zgodził?

NACZELNIK: Nooo, ja zgodziłbym się na jakieś od pięciu do sześciu „S”, które są podyktowane, no i podsunęte żywymi potrzebami.

KOMENTATOR: No, tak! To było znowu to! Teraz zostało tylko naszym reporterom pozbierać do kupy nagie fakty. Fakt pierwszy znalazł się tuż za gminnymi opłatkami.

(Warkot pracującego traktora)

REPORTER: To jest baza spółdzielni Kółek Rolniczych?

TRAKTORZYSTA: Tak, SKR-u.

REPORTER: Jest tu kierownik gdzieś?

TRAKTORZYSTA: Nie ma kierownika. W ogóle nie będzie kierownika!

REPORTER: A kto tu rządzi w takim razie?

TRAKTORZYSTA: Samorząd!

REPORTER: A gdzie ten samorząd?

TRAKTORZYSTA: Ło, un stoi. SAMORZĄD: Ja jestem samorząd. Tu był dyrektor — wywieźli jego na taczkach w pieruny, personalnego tak samo, a teraz samorząd został. Jeden. A po co mi więcej! Ja dam rady jeden! Ja mogę pokazać, jakie mam papiery! Dlaczego nie.

REPORTER (czyta): „Protokół z zebrania wyborczego w dniu 12 maja w miejscowości Szaciłówka. My, niżej podpisani członkowie SKR-u oświadczamy, że: na zebraniu naszym wyborczym wybraliśmy samorząd jednoosobowy w postaci osoby Szaciłowskiego Stanisława, syna Antoniego i Marianny, urodzonego w roku 1945 dnia 12 listopada, ochrzczonego w kościele parafialnym św. Katarzyny”. Tu podpisów trzy-nasć!

SAMORZĄD: Wszyscy jeszcze nie byli.

REPORTER: A jaką pan ma koncepcję samorządu?

SAMORZĄD: Moja koncepcja jest dobra: wszystkich za giembę i do roboty. Lewusów u nas nie potrzeba. Jak będziemy wspólnie robić, będziemy coś mieli. Co ja powiem, to święte. Ten ma robić tu, ten ma robić tu, nie ma żadnych tam „ja nie mogę” czy „dziś idę na piwo”.

REPORTER: Czy moglibyśmy ewentualnie porozmawiać z pana pracownikami?

SAMORZĄD: Proszę bardzo, dlaczego nie, tylko ja muszę przy tym być.

REPORTER: Aż tak pan nie zawięza im?

SAMORZĄD: Jeszcze na razie nie, bo to młoda kadra jest. No, pierwszy z brzegu, który tam? Adam może być.

REPORTER: Aż tak pan nie zawięza im?

SAMORZĄD: Jeszcze na razie nie, bo to młoda kadra jest. No, pierwszy z brzegu, który tam? Adam może być.

REPORTER: Aż tak pan nie zawięza im?

SAMORZĄD: Jeszcze na razie nie, bo to młoda kadra jest. No, pierwszy z brzegu, który tam? Adam może być.

REPORTER: Aż tak pan nie zawięza im?

SAMORZĄD: Jeszcze na razie nie, bo to młoda kadra jest. No, pierwszy z brzegu, który tam? Adam może być.

REPORTER: Aż tak pan nie zawięza im?

SAMORZĄD: Jeszcze na razie nie, bo to młoda kadra jest. No, pierwszy z brzegu, który tam? Adam może być.

REPORTER: Aż tak pan nie zawięza im?

SAMORZĄD: Jeszcze na razie nie, bo to młoda kadra jest. No, pierwszy z brzegu, który tam? Adam może być.

tak? A ja biorę za trzech i na jednej osobie oszczędzamy. Czysty zysk!

KOMENTATOR: Fakt pierwszy był urzędowy, a teraz bendzie fakt prywatny.

PAN STASIEK: Aaa sieee! To, psiakrew, wszędzie wlezie! Nie dość że każdy mnie przychodzi tu rzondzić, to jeszcze kury dokucają.

REPORTER: Panie Staśku, nas skierowano do pana, bo pan podobno ma bardzo ciekawą koncepcję rozwojową swojej gospodarki — pierwszej gospodarki samorządnej! Ile pan ma tych hektarów?

PAN STASIEK: Mam półtora hektara.

REPORTER: W tym hektar łąki?

PAN STASIEK: No, nie cały, bez paruch ar.

REPORTER: Na czym polega ta idea samorządności u pana?

PAN STASIEK: Zasadniczo, panowie, to ja do tej pory nie siał sam nic.

REPORTER: Jak to?

PAN STASIEK: Tak to! Każdy przychodzi i swoje rzondy zakłada. To teść, to swagier, to siostra. Ty siej tak, tu siej to, tu siej tamto. Ja nareście już i głupi się zrobił. Az zgniewało mnie, teścia wziął od dał do domu starców! Siostra sła ze trzy razy do mnie, to wziął się zamknął i nie wpuszczał w diabły.



REPORTER: I szwagra pan też pobił, słyszałem?

PAN STASIEK: A trochę wkuzył mu, bo zaczął za dużo mi na nerwach grać.

REPORTER: Myśmę się właśnie o pana sprawę w sądzie dowiedzieli, o tej samorządności gospodarstwa indywidualnego.

PAN STASIEK: Ja sam słyszał już nie raz, i przez radio, i w telewizji, że teraz samorząd może być. Każdy ma prawo do swojej własności i jak chce, tak może rzondzić. I ja postanowił sam sobie rzondzić i zaden tutaj swagier nie swagier, zaden diabeł żeby mi tu nie miesał.

REPORTER: Ale żony nie trzeba było bić, mimo wszystko.

PAN STASIEK: A bo ona za swagrem obstawała. Ale przyjdzie, bo już się pytała, cy może przyjsć. To teraz ja sam kombinuję. Na łonce stale trawa mi wymaka, bo tam zalewa, więc chce plantacje ryżu spróbować posiać. Z kanału sobie rowek przekopie, jak mi bendzie trzeba więcej wody, a jak bendzie za dużo, to bende mógł spuszczać do kanału. Jak nie zda egzaminu ta plantacja ryżu, to w telewizji podawali, że bardzo ryby podrożeli. Taki jest amor nie amor, diabli wiedzą... Ta ryba nawet trawo może żyć, a tam trawy do cholery. Jak nie ryba, to bende musiał osuszyć wszystko doscentnie i zobacz torf. A może pod tem torfem być coś innego! Ruda może być! Bo ta woda taka żółta. Ruda zelaza.

REPORTER: I co pan z niej będzie robił?

PAN STASIEK: Co? Mam taki...

REPORTER: I co pan z niej będzie robił?

PAN STASIEK: Co? Mam taki...

REPORTER: I co pan z niej będzie robił?

PAN STASIEK: Co? Mam taki...

REPORTER: I co pan z niej będzie robił?

PAN STASIEK: Co? Mam taki...

REPORTER: I co pan z niej będzie robił?

PAN STASIEK: Co? Mam taki...

REPORTER: I co pan z niej będzie robił?

PAN STASIEK: Co? Mam taki...

REPORTER: I co pan z niej będzie robił?

PAN STASIEK: Co? Mam taki...

REPORTER: I co pan z niej będzie robił?

PAN STASIEK: Co? Mam taki...

przetopie? Tyle co sobie? Jakiś sof-nik odleje.

REPORTER: Co pan odleje?

PAN STASIEK: Nie wiem facho-wo, lemis, o, lemis do pługa.

KOMENTATOR: Kolejny fakt dotyczy sfery spółdzielczego działania.

REPORTER: Jest to przedziwny sklep. Słyszeliśmy, że u pani nigdy kolejek nie ma?!

SKLEPOWA: Tak, u nas nigdy kolejek nie ma, bo to jest sklep samorządny. Nie tyle jesteśmy zależni od pieniędzy, co od towaru. Bo u nas jest wszystko.

REPORTER: Skąd te półki pełne?

SKLEPOWA: Dlatego że rolnicy chętnie do nas przyjeżdżają, zgłaszają, co mają do sprzedania, a my bardzo chętnie od nich wszystko zabieramy i dajemy wymianę. Na przykład taki rolnik, który przywiezie mnie świniaka albo konwie mleka, dostaje skierowanie do lekarza i leczy się na to właśnie konto.

REPORTER: A z kolei pani doktor dostaje z tej konwi mleko?

SKLEPOWA: Tak! Mam takie o, szufladki: naczelnik, administracja cała, lekarze i pielęgniarki...

REPORTER: Czym, na przykład, może się wypłacić nauczycielka?

SKLEPOWA: Jak taki skorzysta z tego, co rolnik przywiezie, to inaczej jest dziecko traktowane.



REPORTER: Pani daje karteczkę do nauczyciela, żeby była, na przykład, czwórka z matematyki?

SKLEPOWA: No, nawet i tak bywa.

REPORTER: O ile zrozumiałem, to taki kierownik służby rolnej przychodzi do pani po czterdziści deko szynki czy schabu i ma, powiedzmy, załatwić dwa lemiesz, tak?

SKLEPOWA: Tak. I musi być poświadczenie sołtysa, że rolnik otrzymał, to wtenczas on dostaje.

REPORTER: Czy my nie mogli-byśmy się do tego sklepu zapisać?

SKLEPOWA: Nie, proszę pana, wy w żadnym wypadku nie możecie, bo wy nie macie żadnego biura; przyjeżdżacie raz na jakiś czas i raz w tą stronę, ciągniecie, raz w drugą, tak że żadnych korzyści by to rolnikowi nie dało.

REPORTER: To jeszcze troszeczkę popatrzmy na te półki. A wachać można? O, jałowcowa chyba? I prawdziwki nawet!

SKLEPOWA: U nas wszystko jest! Bo to jest sklep samorządny i samofinansowy.

KOMENTATOR: Znowu bendzie fakt bardziej taki spółdzielczo-prywatny!

REPORTER: Pan ma jakąś zasz-czytną funkcję w tej gminie?

PRZEWODNICZĄCY: Jestem przewodniczącym samorządu kolejkowego. To funkcja społeczna, bez wyboru.

REPORTER: To znaczy — bez wy-boru dla pana, bo jak pan został wy-branv. to pan już musi być, tak? Ja-kie kolejki pan obsługuje?

PRZEWODNICZĄCY: Wszystkie

kolejki obsługuję, a szczególnie w monopolowym. Na przykład wczoraj dowiedziałem się, że jest czysta! Du-żo ludzi, kolejka aż na chodniku. Widzę, że trzeba zaprowadzić porządek. A więc wchodzę do środka, po-daję kartkę, dostaję czystą, z kie-szeni wyciągam kieliszek, podchodzę do babuni, nalewam: jak pijąca, to niech stoi w kolejce, jak nie chce wypić, to wysiada, musi opuścić ko-lejkę. A wszyscy biją brawa. Jeszcze z dziesięć dziadków obokoczyłem, i wszyscy, bez słowa, wyszli. Kto wy-pił, został! Wchodzę do sklepu mię-snego. Stoi kolejka też wydłużona. Ja od razu poznam takiego gościa, dla którego nie należy się mięso jeść. Stoi młody, bladziutki i ręcamy trzy-ma za żołądek. No, gdzie on będzie spożywał mięso? Powiedziałem do niego: „Proszę pana, kaszę mannę po przeciwnej stronie ulicy sprzedają. Proszę opuścić miejsce dla człowie-ka, który lubi golonkę, szyneczkę, i może zjeść!”

REPORTER: A jak pan sobie radzi w spożywczym?

PRZEWODNICZĄCY: To sprawa prosta! Wyłapuję tych, co cukru nie mogą. Podchodzę, od razu za rączkę i patrząc: pokluta — insulinę bierze. To ja go z kolejki: „Proszę iść do apteki, była przed chwilą dostawa insulinki!” I każdy mnie lubi, i bra-wa biją, że dobrze robię.

Samostój czyli 6 x „S”

REPORTER: A co z przemysłowy-mi? Na przykład — z butami.

PRZEWODNICZĄCY: To proste. Co jaka dostawa, to jest jeden numer tylko, na przykład piątka. Ja wycią-gam centymetr i mówię: „Niech pan tutaj podejdzie do mnie, pokaże nóżkę!” I jak pomierzyłem, te trzy czwarte kolejki do domu poszło. Ju-tro będzie siódemka, to pogonię z ko-lejki piątkę.

REPORTER: Kto pana wybrał na tego przewodniczącego samorządu kolejkowego?

PRZEWODNICZĄCY: Społeczeń-stwo kierowników sklepów!

KOMENTATOR: A teraz już bendzie podsumowanie faktów, które można by mnożyć bez końca, tyle że... po diabła!

REPORTER: Mówiono nam, panie docencie, że pana najłatwiej w plexerze złapać. I rzeczywiście, rzeka w pobliżu, ptaszki swiergoła sobie. Co pana sprowadziło właśnie tutaj?

DOCENT: Prowadzę, po prostu, wdrażam, wdrażam w tej chwili... pewien mój pomysł!

REPORTER: My pana znamy, ale słuchacze nie, więc może pan się przedstawi i swoją rzadką dziedzinę. Pan jest szefem katedry trybologii na politechnice?

DOCENT: Tak. A trybologia po-chodzi od dawnych, jeszcze rzym-skich, czasów. W tej chwili to jest wdrażanie, po prostu zachęcanie się trybu za tryb, przekładnia. Ja może to obrazowo, na tablicy, przedsta-wię. Reasumując: trybiologia, to po prostu proste maszyny, takie jak tryby, paski, przekładnie, dźwignie — no, masa, masa jest rzeczy takich, które po prostu za siebie zahaczają.

REPORTER: Co pan robi w tej małej gminie?

DOCENT: Pracuję na zlecenie. Chodzi o włączenie samorządu w tryby naszej gospodarki narodowej. No więc z samorządami, to jest mniej więcej tak samo, jak z trybiologią. Bo ja sądziłem zawsze, że tylko try-bów jest dużo. A tutaj również jest bardzo dużo różnych form samorza-du.

REPORTER: Do jakich wniosków najogólniejszych pan dochodzi przy powiązaniu samorządności z trybo-logią?

DOCENT: Widzę ogromne podo-bieństwo jednego i drugiego. I jed-no musi się zahaczać za siebie, i drugie tak samo. Czyli od dużych trybów przechodzimy do mniejszych, podobnie samorządy, samorządziki i tak dalej. One muszą za siebie za-haczać! Dwie rzeczy bym wypunktował: samorządność trybologiczną i trybologię samorządną!

(Muzyka)

ANDRZEJ BARTOSZ

WIESŁAW JANICKI

Fot. GABOR LÖRINCZY



KONTAKTY
22.XI.1981

Akcja Reymontowskich „Chłopów” przypada na bardzo ważny okres w historii rolnictwa. Jest to przecież okres po uwłaszczeniu, czas upadania gospodarki szlacheckiej, przechodzenia z trójpółki do systemu płodozmianowego, rozwoju uprawy ziemniaków, a następnie buraków oraz wprowadzania nowych roślin, na przykład konińskiego zębu, i rozszerzenia upraw łubinu. Chłopi zaczęli czytać gazety, słuchają nowin nie tylko o charakterze społeczno-politycznym, ale także zawodowym. Nadal ich głównym zajęciem jest praca na roli, uwarunkowana porami roku, co zresztą znalazło wyraz także w tytułach poszczególnych części „Chłopów”. Gospodarka hodowlana zaczyna się dopiero rozwijać, ale także i ona podporządkowana jest celom rolniczym. Na przykład hodowla bydła traktowana była początkowo jako „zło konieczne” i wynikała głównie z potrzeby produkcji nawozu, użyźniającego pola.

Pod koniec XIX w. głównymi narzędziami rolniczymi były: pług drewniany z drewnianą odkładnicą, okutą blachą, oraz brona drewniana — także z drewnianymi zębami. Narzędzi tych używali chłopi z okolic Będkowa.

Chłopi lipieccy orzą pługami żelaznymi, a kłosać na nawet pług na kółkach, najprawdopodobniej produkcji Sucheniego, znanego wytwórcy pługów. Założył on w 1859 r. warsztat w Kłomnicach, a następnie — w roku 1869 — w Gildach zbudował kuźnię produkującą znaczne ilości pługów o różnej konstrukcji i ciężarze. Interesujące są dane na temat ich produkcji. Otóż Sucheni wyprodukował w roku 1880 około 1000, 1890 — 2000, a w roku 1900 — 3000 pługów. Rozwoził i sprzedawał je na okolicznych targach.

Chłopi posługiwali się natomiast przede wszystkim pługami, które — na wzór pługów Sucheniego — przebudowywali i reperowali wiejscy kowale. „Kuźnia stojąca pierwsza zaraz z brzęgu była zamknięta i głucha; jakiś przodek od wozu i nieco zardzewiałych pługów leżało pod ścianami okopconymi [...]”. Byli oni wytwórcami także innych narzędzi rolniczych oraz części pracujących: lemieszów, odkładnic, radeł, zębów do bron lub tak zwanych drapaków, które wykonywali z żelaza, natomiast części nośne tych narzędzi wytwarzane były z dębowego lub akacjowego drewna. Ten sposób produkcji prostych narzędzi rolniczych przetrwał przecież jeszcze do dzisiejszych czasów.

Niektórzy kowale wiejscy byli bardzo zmyślni i potrafili naprawić dość skomplikowane maszyny rolnicze. Zmyślny był także kawał z „Chłopów”: „— A gdzie twój — zapytała Jagustynka żona kowala. — Zepsuła się młockarnia we Woli, to go powołali, bo dworski kowal nie umie sobie poradzić.”

Kowale należeli do arystokracji wiejskiej. Znałem kilku starych kowali i każdy z nich stanowił wyróżniającą się indywidualność. Najdłużej znałem mojego sąsiadę, z sumiastymi włosami i swoistym filozoficznym poglądem na świat. Należał do Stronniczy Ludowego, prenumerował „Zielony Sztandar” i toczył ciągle dyskusje polityczne z klientami. Jako dziecko korzystałem z jego książek — między innymi zapoznałem się wówczas z „Historią literatury” Chrzanowskiego.

Nie stosowano w uprawie roli bardziej złożonych narzędzi i maszyn, które już znajdowały zastosowanie w folwarkach. Ale chłopi podpatrywali nowe sposoby uprawy. Świadczy o tym zdarzenie: „I jęczmiona już im powschodziły, a równe, jakby siewnikiem posiane. — Modliczki dobre gospodarze, na dworską modłę w polu robia!”

W Lipcach używano już kos do koszenia traw i zbóż. Zbieranie zboża przy pomocy kosy, a nie sierpa, miało miejsce w okolicach Będkowa rzeczywiście dopiero w latach 1880-1890. Świadczy o tym także wspomnienie mojej matki, która często powtarzała, że jej ojciec wyszedł z kosą na żniwa pierwszy we wsi, czym wywołał zgorszenie swoich rodziców. („Będziesz ty, Franuś, chleb jod, będziesz!”).

Zatem pług i kosa były w drugiej połowie XIX wieku symbolem postępu w rolnictwie. Udoskonalenie uprawy pozwoliło także chłopom na przejście z trójpółki do płodozmianu. W Lipcach bogatsi chłopi

stosują już zmianowanie. Świadczy o tym rejestr różnych roślin uprawnych. Sieją żyto, pszenicę, owies, jęczmień, koniczynę, len, koniński ząb, groch, fasolę-piechotę, bób, ziemniaki i kapustę. Z tym że groch, fasolę i bób najczęściej uprawiają wspólnie z ziemniakami: obsiewając nimi bruzdy i obrzeża pól. Nie ma wzmianki o łubinie, który jednak w znacznej mierze uprawia dwór („w ten czas właśnie na wzgórzu piaszczystym pod lasem spod dworskich stogów łubinowych...”). Jak wiadomo, wprowadzenie łubinu na szerszą skalę spowodowało wzrost plonów (wzbogacenie gleb lekkich w azot i próchnicę). Łubin więc pod koniec XIX wieku ratował gospodarstwo folwarczne, a następnie — w pierwszych dziesiątkach lat obecnego wieku — gospodarstwo chłopskie. Dopiero rozszerzenie produkcji na wozów mineralnych oraz trudności z dojrzewaniem szlachetnych, nie wysypujących się, odmian łubinu zahamowały wyraźnie jego uprawę. Należy dodać, że pasza łubinowa wspomagała bardzo wyraźnie także hodowlę owiec.

Spostrzeżenia Reymonta o uprawie poszczególnych gatunków roślin zgadzają się z danymi, zawartymi w notatce opublikowanej w „Gazecie Świętochowskiej” w roku 1896. Dowiadujemy się z niej, że w okolicach Wolborza (oddalonego o kilkanaście kilometrów od Będkowa) u-

dowany także zmniejszeniem się powierzchni ugorów wskutek wprowadzenia roślin zbożowych i okopowych, sprawił, że już pod koniec XVIII wieku zaczęto wprowadzać uprawę koniczyzny, a zwłaszcza czerwonej. W wieku XIX upowszechniła się uprawa koniczyzny, z uwagi na jej wartość pokarmową oraz właściwość wzbogacania w azot gleby. Uprawiana była także w Lipcach, gdzie — jak wynika z częstych wzmianek o niej w „Chłopach” — stanowiła poważny czynnik w rozwoju rolnictwa i hodowli. Ponieważ wymagała gleby cięższej, a tej w gospodarstwach chłopskich było stosunkowo mało, wracała na pozycję sprzed trzech-czterech lat. Następowo więc wykonicynienie gleby i zachwaszczanie pól. Daje temu także wyraz Reymont: [...] bo i koniczyzna zeszłoroczna nietęga; jeśli susze przyjdą, przepadnie. [...] Patrz, jak się Kłębowski wysypało koniczyzny, jak bór! Z mojego nasienia... Za to moja tak wymroziło, że został tylko rumianek i osty!”

Uprawa ziemniaków w zasadzie przebiegała podobnie jak dziś. To znaczy: sadzono je na polu nawożonym obornikiem wiosną. W miejscach mokrych używano do tego motyczki. „Stanęły wnet do roboty, po dwie na zagonie, głowami do siebie — dziobały motyczkami dolki, przygarniały go ziemią, okopując zarazem w poprzeczne rzadki”. Sadze-

pierwszy we wsi pojawił się kombajn ziemniaczany. W najbliższych latach wyguruje on z pewnością kopcarki konne, które rozpowszechniły się w okolicy w ostatnim dwudziestolecu. W roku 1980, jako pierwszy we wsi zasadziłem ziemniaki sadzarką, a do zwalczania chwastów zastosowałem środki chemiczne. Krzyżaki z dziećmi na polach mojej wsi nie pojawiają się od zakończenia drugiej wojny światowej.

Z opisów Reymontowskich nie wynika, by chłopi trzymali się ściśle zmianowania. Poszczególne rośliny uprawiali przede wszystkim w zależności od jakości gleby, np. len na glebach nisko położonych, wilgotnych („a tu i ówdzie na dotkach lny niebieściły się bledziuskim kwiatem, niby te przymrużone od blasków dziecińskie oczy”), pszenicę i koniczynę — na glebach cięższych, zaś biedni gospodarze, właściciele małych działek o słabych glebach, uprawiali na przemian żyto i ziemniaki. Taki sposób uprawy obniżył, oczywiście, plonowanie i prowadził do nadmiernego zachwaszczania pola. A walka z chwastami była nadzwyczaj uciążliwa! Od wiosny do żniw pielono wszystkie uprawy; była to praca wszystkich kobiet i dzieci. Trzeba było zwykle na klęczką wyrwać chwasty, bo już grzbiet ciągłego schylania się nie wytrzymał. A ręce były czarno-zielone, z popekaną skórą, skłute przez szpilki ostów. Czy ktoś je szanował?

Obecnie, dzięki preparatom chwastobójczym i odpowiedniej uprawie oraz odwodnieniu pól, problem chwastów nie jest już tak uciążliwy. Stracił tylko swe barwy krajobraz i pszczoły nie mają źródła nektaru. Jakże sugestywnie ten kobierzec z chwastów przedstawił Reymont: „[...] miasto zbóż ognichy się pleniły, osty strzelały w górę, lebiody trzęsły się na dotkach, rudziaki szczawie, perze kuli się gęsto na podorywkach jesiennych, a na rzysskach wynosiły się smukłe dziewczany i łopiany, kiej te kumy podufate, zasydły szeroko [...]”. To wiosenny obraz pól, a latem: „[...] kwitnęły już bowiem owe ostróżki przeróżne, kwitnęły powoje patrzące z żytnich gąszczów [...] pachnącymi oczami, kwitnęły modraki, miejscami kiej żdziebko wymiękło, tak gęsto, jakby tam niebo się kładło, kwitnęły wyczki całymi kepmi a one jaskry, a mleczce i krwawe osty, a ognichy i koniczyzny, a stokrotki, a rumianki dzikie, a tysiące innych”.

Chciałbym zwrócić uwagę na doskonałą spostrzegawczość Reymonta. Zauważył nawet, że wyczki kepmi rozrosły się w miejscach „mokrzejszych” („gdzie żdziebko wymiękło”), a najgroźniejszym chwastem lnu była złotucha (żółtocha). Lnu uprawiano szczególnie dużo. Była to konieczność — ubierano się, zwłaszcza na co dzień, w odzienie uszyte z tkaniny lnianej, wyprodukowanej we własnym gospodarstwie. Sposoby uprawy tej rośliny, jak i dalsze etapy jej przerobu aż po tkaninę, znalazły także wyraz w „Chłopach”.

Głównym pożywieniem chłopów Reymontowskich, poza chlebem i ziemniakami, były kapusta, groch lub fasola. Dlatego też szczególnie dużo starali poświęcać tym roślinom, a szczególnie kapuście. Reymont uprawę kapusty przedstawił nawet w szczegółach, począwszy od wsadki i rozsady: „[...] w zacisznych miejscach sadów kapuściane wysadki już puszczaly zielone warkoce z ogólnych tłów. [...] — Sienią macie kapustę! [...] — Z nowego nasienia była rozsada, dobrodziej przywieźli z Warsawy [...]”.

Kapustę, wymagającą dużo wilgoci i żyznej gleby, uprawiano na torfowiskach. Ta zasada przetrwała w mojej wsi do lat dwudziestych obecnego stulecia. Później, z uwagi na możliwość stosowania większych ilości obornika i nawozów mineralnych, kapustę zaczęto uprawiać na wilgotniejszych polach uprawnych, przez co nie było to już zajęcie tak pracochłonne. Dzisiaj pozostały tylko echo dawnej uprawy tej rośliny — torfowiska, na których uprawiano kapustę, nadal nazywa się kapuśniakami.

Dbano także o groch. Nie uszło uwadze Reymonta, że dobre jego plony uzależnione były od wczesnego siewu: „Musi być groch sieje, kiej tak wcześnie”. Przytacza także przysłowie: „[...] kto groch sieje w wielki wtorek — za garniec pierze worek”.

Prof. dr hab. ZENON WACHNIK

Borynowie rolnicy



Rok 1938. Pokaz plodów rolnych, zagranizowany przez Koło Gospodyń Wiejskich w sąsiedzkiej wsi. Fot. z archiwum Autora.

Reprodukcja: Gabor Lőrinczy

prawiano w tym czasie żyto, pszenicę, owies, jęczmień, proso, groch, len, konopie i koniczynę. Największe polacie roli przeznaczone były pod oziminy. Na glebach lżejszych uprawiano żyto, na cięższych — pszenicę. Ziarno tych zbóż było nie tylko podstawą żywienia, ale również materiałem łatwym do sprzedania.

Ale urodzaje nie zawsze były dostateczne: „Cie, Płoszkowe żyto... musi być późne albo i wymiękło żdziebko”. W tym jednym zdaniu Reymont oddaje przyczyny nieurodzaju. Zboża ożime siano bowiem często po ziemniakach, a więc zbyt późno, ponadto nie zmiełowano pola nie sprzyjały uprawie zbóż.

W okresie ubiegłego stulecia w drobnej gospodarce chłopskiej nie zaszły daleko idące zmiany. Ulepszone tylko uprawę gleby, a wzrost plonów uzależniony został przede wszystkim od nawożenia (większa ilość obornika i stosowanie nawozów mineralnych, które — z uwagi na cenę — nie znajdowały mimo wszystko częstych nabywców). Natomiast błogostawieństwem dla chłopów w okresie międzywojennym okazały się młockarnie, tak zwane „targanki”, a następnie szerokomłotne (na prostą słomę), uruchamiane za pomocą kieratów.

Mimo uprawy wielu roślin nadal jednak znaczne polacie pól objęte były ugorami. Znaczyły one dużo w krajobrazie Lipiec, gdyż Reymont często o nich wspomina. Te „płone ugory zeszłoroczne” stanowiły także urodę lipieckich pól; pasły się na nich gęsi, krowy i owce. Jednakże roślinność na nich była miżerna, nikt ich przecież nie nawoził.

Brak paszy dla zwierząt, spowo-

niaki krajano, ale także sadzono w całości, podobnie jak we dworach: „[...] jeno mi się widzi, że za grubo krajane [...] — Za grubo, dyć ino na pół, przeciek u młynarza co drobniejsze ziemniaki całe sadzą. Rocho powiedział, że takie są dwa razy plenniejsze. — Musi niemiecka to moda, bo jak Lipce Lipcami, zawdy się ziemniaki krajają na tyła, chyla oczków miaty [...] Zasadzone ziemniaki bronowano („Ziemniaki którejsz konownicy, jakby w krowę przyorywała. — Przecież brona wszystko wywlecz”). Okopywano je ręcznie („pora była osypywania ziemniaków”). Bruzdy i obrzeża pól ziemniaczanych obsadzano bobem („kiesz niekaj boby tysiącami białych ślepiów stróżowały przy ziemniakach”), a także fasolą-piechotą i grochem.

Ponieważ obornika było mało, a pola zachwaszczone, ziemniaki rodziły bardzo słabo, zwłaszcza na polach mokrych. Uprawiano od lat te same odmiany, co powodowało szereg chorób i łatwość gnicia. Zimą przechowywano je głównie w tak zwanych dołach, zabezpieczone słomą i ściółką przed mrozami.

Uprawą ziemniaków zajmowały się przeważnie kobiety. Musiały one przebrać i pokrajać sadzeniaki, posadzić je pod pług lub pod motyczkę, opielić, obsypać co najmniej dwukrotnie, wykopać i pozbiierać na kopaniskach; wszystkie czynności wykonywały przysięgłe do ziemi. Nieodłącznym obrazkiem towarzyszącym zbiorom ziemniaków były bielące się na polach krzyżaki, na których w płachtach leżały dzieci, [...] raz w raz poplakuje!”.

Dopiero około stu lat później — w roku 1980 — na moim polu po raz



Tak znalazłem się za kratkami razem z przestępcami wojennymi i kryminalnymi, a nawet zbrojcami, którzy własną córkę gwałcili. Ja — człowiek o czystej duszy i sercu! Nie wiedziałem sam, o co byłem oskarżony. Poniżali moją godność. Wyśmiewali się ze mnie, że działałem pod pokrywką politycznej pracy dla celów szpiegowskich, że przekazywałem meldunki za pośrednictwem Polskiego Radia w Szczecinie w audycjach zaszyfrowanych (byłem społecznym korespondentem robotniczym). Raptem cała moja działalność okazała się wywrotowa wobec PRL. Jak miałem im udowodnić, że to nieprawda?

Siedziałem w małej celi Wojewódzkiego UB w Koszalinie. Słońca nie widać. Cella na 5 metrów długości i 1,5 — szerokości. Prycza jedna na drugą. Było nas czterech. Miałem czas na rozmyślanie. Oni stale przychodzili z uśmiechem na ustach, uprawiali samosąd. Rozbiegali do naga, przewiercali wzrokiem gołe przyrodzenie. Potem, też z uśmiechem, rozkazywali: — Ubieraj się, chamlie. — I tak w dzień, w nocy, kiedy im się podobało. Złożyłem skargę do prokuratora. Dostałem za to ciemną celę, twarde łóżko i marne wyżywienie.

— Tak, składacie skargi na uczciwych urzędników bezpieczeństwa! Długo my za tobą chodziliśmy, aż wykryliśmy. Byłeś we Francji i tam szpiegowską robotę prowadziłeś na szkodę Polski.

— Proszę mi wszystko udowodnić! — Udowodnimy, nie bój się, udowodnimy. Sam będziesz prosił, żeby te dowody uznano za prawdziwe. My umiemy.

Takie ciągle przesłuchania niszczyły mnie moralnie. Do tego żona nie wiedziała, gdzie ja jestem. Nie uwiery, że ja, kochający mąż, pojechałem i zapomniałem o niej.

Byłem odizolowany od społeczeństwa, od świata. Otaczała mnie ciemność. Czasem pukalem, by mi pozwolono zrobić siusi. Strażnik wygrażał, że jak naleję na posadzkę, to językiem będę sprzątać. Cierpiełem. Strasznie cierpiełem. Zagroziłem strajkiem głodowym. Z początku nic nie robili; liczyli, że się załamię i po pierwszym dniu chwycę za jedzenie. Nic z tego. Syberyjska bieda zahartowała mnie. Nie brałem jedzenia do ust przez trzy dni. Wtedy wezwał mnie mały człowieczek — metr pięćdziesiąt wzrostu — i zapytał, czego żądam.

— Domagam się zakończenia śledztwa i wypuszczenia mnie na wolność; domagam się przestrzegania przepisów; domagam się nakazu aresztowania, którego nie widziałem i nie podpisywałem. To jest bezprawie! Wam tego nikt nie zapomni. Jak wyjdę, to...

— Pan nie wyjdzie. A za groźne nam może być wyrok.

Zawołał kilku z drzew przez naciśnięcie guzika przy biurku: — Zaraz ożyjesz.

Rzeczywiście ożyłem. Przynieśli ławę, która była jakby rozłupana. Przy niej, jak imadła, rączki do kręcenia. Rozebrano mnie do naga. Tak kazali mi usiąść, by jądrami w to rozłupane miejsce trafić. Potem zaczęli kręcić rączką. Poczułem ucisk jąder. Straciłem przytomność. Ouculi mnie i zaczęło się.

— Mów teraz, kto ciebie tu przysłał? Dla kogo pracowałeś?

Ja mówię: — Dla partii i TPPR-u.

— Łeżesz, zdrajco!

Ból przeszył mnie jeszcze raz. Jak wyszedłem, jądra miałem opuchnięte. Nie mogłem nawet siusi zrobić. Zrozumiałem, jaką podłość umieją ludzie ludziom zrobić bez powodu. Byli to Karaś i Łunkiewicz, oficerowie UB. Tych nazwisk nigdy nie zapomnę. Byli i inni — incognito — ich twarze do dziś mam w pamięci. Wrzucili mnie do celi, jak worek, na gołą posadzkę, bez nakrycia. Dobrze że była to dopiero połowa lipca 1953 r. Siedząc w celi rozmyślałem nad tym, co mówili moi szwagrowie i wielu innych prostych ludzi, czego nigdy nie chciałem brać na serio. Słowa prawdy. Zwracałem się o kontakt z rodziną, z żoną. Oni: żona się ciebie wyrekła, ma kochanka. Polskie Radio żałuje, że współpracowało z tobą.

TPPR zamilkło. Towarzysze z partii unikali ze mną kontaktu, widocznie nie chcieli mi pomóc.

Siedziałem 9 miesięcy. Wilgotna cella i marne odżywianie dały mi się we znaki. Poszedłem na sprawę sądową w Koszalinie — Sąd Wojewódzki mnie sądził. Zobaczyłem swą matkę — uśmiechniętą, wypychającą mi wałówkę przez kordon

milicjantów. Dostałem adwokata z urzędu. Matka i siostry wystąpiły w roli świadków. Sąd pouczył je, że jako rodzina mają prawo wyłączyć się ze sprawy i odmówić zeznań. Matka twardo domagała się przesłuchania, tak samo jak siostra Teresa. Matka zeznała, że nie jestem jej synem, że podstępem wymusiłem metrykę urodzenia, by ułokować się w Polsce po powrocie z zagranicy i prowadzić szpiegowską robotę. Sąd domagał się dowodów. A matka: — Mówił mi, że jest szpiegiem przysłanym z Francji.

Po skończonym przesłuchaniu usiadła na miejscu przeznaczonym dla publiczności. Poprosiłem Sąd, by nie pozwolił matce przebywać na sali rozpraw. Sąd przychylił się do mej prośby.

Weszła siostra Teresa. Zeznała, że namawiałem ją do podrobienia jakichś tam dokumentów, o których nie miałem pojęcia. Sąd pokazał paszport, który oddałem, jak wydawało karty meldunkowe. Tylko siostra nie przyznała się, że trafił do jej rąk, kiedy pracowała w Biurze Dowodów Osobistych. I tam coś dopisała — może sama, może na czyjeś polecenie. Nie przyznałem się do podrobienia paszportu i Sąd mi tego nie udowodnił. Siostry zeznanie okazało się jednak wiarygodne. Panowie z UB eieszyli się bardzo z tego. Osiągnęli sukces. Nie złamali mnie w śledztwie, a złamali w Sa-

z aresztu. Wówczas panowie z sali jak niepyszni uciekli. Próbowali jeszcze wciągnąć mnie w pułapkę prawną: powiedzieli, abym napisał, że znęcał się nade mną. Ale nie ryzykowałem. Wiedziałem, że mogliby mi wytoczyć sprawę o oszczerstwo.

Zony w domu nie zastałem. Siedziała tylko zatroskana teściowa. Kiedy mnie zobaczyła, z płaczem rzuciła mi się na szyję.

— Twoja żona leży w szpitalu, ciężko zachorowała. W drugim pokoju siedzą panowie z UB. Zamieszkali sobie u was. Ona miała z nimi intymne kontakty. Edziu, nie rzucaj jej za to!

— To jest jej sprawa — odrzekłem. — Tyle miesięcy nie dali wiadomości, co miała robić.

Poszedłem do tych panów. Oświadczyłem, że jutro o ósmej mają zabrać swoje rzeczy i wynieść się z mieszkania, bo inaczej nie odpowiadamy za swoje czyny. Rzeczywiście rano zabrali walizki, uregulowali rachunek za korzystanie z mieszkania i poszli. Zostałem sam z teściową. Poszedłem do szpitala. Żona leżała w nim. Zapłakałem na jej widok. Poprosiłem lekarza o lepszą opiekę nad żoną. Ten spojrzał na mnie: — Panu też nic nie brakuje. Pan powinien natychmiast się leczyć, bo inaczej za dwa miesiące, albo i prędzej, będzie pan grył ziemię.

dal współpracował. Odmówiłem im twierdząc, że jak byłem w niedoli, to Radio nie wiedziało, jak mi pomóc. Teraz mnie odnalazło. Nie chcę pisać zaszyfrowanych korespondencji i tyle.

Chciałem zmienić środowisko, gdyż byłem znaną osobą na terenie powiatu, jak ksiądz w swojej parafii, a teraz każdy mnie widywał tacha-ającego worki z mąką, skrzynki wódki do sklepów. Śmiali się, poklepywali po ramieniu. Czułem się poniżony.

Partyjny już nie byłem. Zabrano mi w UB legitymację; nie myślałem się o nią ubiegać. Byłem jeszcze członkiem ZMP. Więc poszedłem do kolegi Bończyka, instruktora, by mi załatwił zaciąg na najtrudniejsze od-cinki pracy. Któregoś pięknego let-niego dnia wyjechałem na Śląsk. Na razie sam. Żona z dziećmi została na Pomorzu. Przydała mi się praca w kopalni węgla we Francji. Zaraz zostałem przyjęty przez lekarza, choć obawiałem się, że mogą dopatrzeć się jakichś mankamentów w moim zdrowiu. Ale komisję przeszedłem. Mieszkanie otrzymałem w hotelu robotniczym — nawet, jak na owe czasy, dobrze wyposażonym. Młodych zetempowców było bardzo dużo. Z upływem dni robiło się nas coraz mniej. Wstyd było patrzeć, gdy ci, co tak deklarowali wytrwa-

VI misjonarz w czerwonym krawacie



dzie. Kiedy jednak Sąd kazał mnie natychmiast zwolnić do domu, tym panom z UB miny zrzedły.

Pięciu milicjantów prowadziło mnie na salę sądową, do tego z milicyjnym psem. Byłem skuty w kajdany. Mówili po drodze, że otrzymam 15 lat lub strytek. Za co taki wyrok? Wtedy naprawdę duszę i ciałem zwróciłem się do Boga: „Jeżeli istniejeś niewidzialny i widzisz, co robią z twoją owieczką, ratuj mnie! Zgrzeszyłem — to prawda. Jestem bolszewikiem, też prawda. Ale każdy ma prawo wyboru własnej drogi. Dajesz przecież człowiekowi rozum. Teraz czeka mnie nieszczęście. Ratuj!”

Wstyd mi było przed samym sobą, że chwytam się wszystkiego, nawet nawyków. Opuścili mnie wszyscy moi towarzysze pracy, moja matka, siostry i brat. Zobaczyłem żonę na korytarzu. Płakała. Za co ta młoda, ładna kobieta cierpieła? Nie wiedziałem, że przygotowane mi jeszcze jedną niespodziankę. Je-cynnie adwokat, p. Ogrodowski, powiedział mi: — Nie mają przeciw panu żadnych dowodów. Oskarżenia gołosłowne. Jeżeli Sąd zadość uczyni nawet panom z UB, to umorzy na podstawie amnestii. Nie pan jeden został utracony: Sławni w Czechach, Beria w ZSRR, no i Gomułka. A pan mały pionek. Głowa do góry!

No i zostałem zwolniony, jak mówił adwokat. Sąd nie dopatrzył się winy i kazał wypuścić natychmiast

Żona pracowała w PKP jako woźna. Zarabiała grosze, ale na życie jakoś starczyło. Sprzedawała moje garnitury i wiele innych rzeczy. Byłem goły.

Kiedy mnie ludzie zobaczyli w mieście, wielu zaczęło mnie palcem pokazywać. Zapytałem o przyczynę. — Przecież w gazetach pisali, że jesteś szpiegiem amerykańskim. Jak ty wyszedłeś?

Zwrócili się moi towarzysze, bym ponownie rozpoczął pracę społeczną. Odmówiłem. Musiałem się leczyć. Miałem ciężką anemię, no i leczyłem swoje przyrodzenie. Najbardziej bałem się, że nigdy nie będę mógł mieć syna. Żona również chciała mi go urodzić. Jeszcze tylko chłopca i koniec.

Dostałem się do pracy fizycznej. Spotkałem się z pełnym zrozumieniem wśród robotników i młodych przelozonych. Pomagali mi w pracy. Ale ja nie mogłem długo dojść do siebie.

Życie nasze po takim nieszczęściu zaczynało przychodzić do normy. Znowu stałem się głową rodziny i ojcem dzieci. Ale one bały się mnie ogromnie, uciekały do matki lub zaraz uderzały w wielki, żalony bek. Nadal brałem bolesne zastrzyki, leczyłem płuca, bo i na nie zachorowałem.

Teściowa i teść pomagali nam bardzo. Przywozili jarzyny, bo mieli ogród, podtrzymywali nas na duchu. Po jakimś czasie Radio w Szczecinie przysłało pismo, bym na-

łość, opuszczali szeregi jak zdrajcy. W kopalni zastałem bardzo ciężkie warunki pracy, o jakich nawet we Francji nie słyszałem, i nie myślałem, że istnieją. Gorąc niesamowity. Brak obudowy i stropów. Sztęgą tylko widzieli węgiel i węgiel. Mnożyły się wypadki przy pracy. Kaleczyli się górnicy i bali się do tego przystać. Zgłaszali się do lekarzy i mówili, że spadli ze schodów lub doznali złamań w czasie bójki ulicznej. Opieka lekarska była w tym czasie bardzo dobra, a ten strach przed zgłaszaniem wypadków wynikał z podejrzliwości sztygarów i dyrekcji, która wszędzie dopatrywała się sabotażu. Kopalnie zatrudniały wówczas każdą ilość osób. Wielu było niebieskich ptaszków. Oszolomieni wysokimi zarobkami w kopalni — przyjeżdżali, by dorobić się. Kiedy przyszło stanąć oko w oko z rzeczywistością, uciekali. Wielu znam takich, którzy na zebraniach krzyczeli, narzucali swoje zdanie, niedługo jednak utrzymali się w kopalni.

Rano zajeżdżaliśmy do pracy o szóstej, a wyjeżdżaliśmy o 22.00. Tak było w świątek i piątek. Zaczęłem odczuwać zawroty głowy, nudności i bóle. To był naprawdę wysięg pracy, ale zarobki liczyły tylko za 8 godzin, a nie za 14—16, jak było w rzeczywistości. Niewolnicza praca, ale potrzebna społeczeństwu.

EDWARD APANEL
Rys. Stanisława Kędzielańskiego

pokolenie





Mijając długie kolejki oczekujących przed kioskami na kartkowe przydziały papierosów, zadałem sobie pytanie: czy to możliwe, że w takiej sytuacji tytoń marnuje się u rolników? Wątpliwości postanowiłem rozwiązać u źródła — w Mazurskiej Wytwórni Tytoniu Przemysłowego Podregion Łomża.

— Tylko nieorientowanemu może wydać się to dziwne, że nie wszystkim spokojem wyjaśnia kierownik Eugeniusz Kapuśniak — Po prostu moc przerobowa naszej fermentowni w Augustowie, w której przez 18 miesięcy przygotowujemy tytoń do

produkcji, jest zbyt mała, by tegoroczne obfite zbiory w całości zmagażynować. Dlatego skup racjonujemy. Ale zapewniam, wszystkie tytoń przez najbliższe miesiące skupimy. W ubiegłych latach surowca było mniej i spływał do punktów skupu przez kilka miesięcy. Teraz, gdy pomogliśmy rolnikom zbudować nowe suszarnie proces obróbki się skrócił i pchają się wszyscy w jednym czasie.

Tyle wyjaśnień oficjalnych. A jak wygląda w terenie?

W punkcie skupu tytoniu w Kolnie kilkunastu rolników z wezwaniami wyznaczającymi godziny przyjazdu oczekuje w długiej ko-



lejce. Siąpie gęsty kapuśniak. Nie polepsza to jakości wysuszonej machory, ale za to znacznie podnosi jej ciężar, co przy pierwszej klasie tytoniu daje kilka tysięcy dodatkowego zysku dla rolnika. Warto moknąć z machorą!

Na widok aparatu fotograficznego ożywienie wśród stojących.

— Panie, sfilmuj pan to, że po kilka razy musimy przyjeżdżać. Marnujemy czas i paliwo. Co prawda za przechowanie płacą parę złotych, ale co to jest w stosunku do ilości machory, którą myszy zrabują? I stodoła zajęta — nie ma gdzie zboża wynieść, bałagan w gospodarstwie. Mówią, że klęska urodzaju ich zaskoczyła. Śmiechu warte. A może to sabotaż panie.

Przy wadze, szczelnie ogrodzonej, młoda, uśmiechnięta dziewczyna sprawnie numeruje poszczególne partie dostaw. Po drugiej stronie okienka klasyfikatory informują przez głośnik: jedynka... dwójka... jedynka. Te suche cyfry, to są ciężkie pieniądze. Tona „jedynek” kosztuje ponad 140 tysięcy złotych. Sprzedaż odbywa się niby anonimowo, ale rolnicy, niby przypadkiem, ustawiają się tak, by było ich widać przez okienko. Kierownik Kapuśniak przeżeganie chłopów. — Tu stać nie wolno. Tłok także w magazynie — wejść nie można, tak załadowany machorą. Bo wykonać zdjęcie kilku beli trzeba usunąć.

Kierowca stara z Augustowa, na który ładują tytoń skarży się na brak paliwa. — Napisz pan, że jak tak będzie dalej, to się w ogóle wstrzyma skup. Bo nie będzie czym zabierać surowca. Wśród oczekujących rolników spotykamy pracownicę Związku Plantatorów Tytoniu, Jadwigę Czartoryjską.

— Co pani tu robi?
— Czekam na samorząd społeczny. Miał przyjechać przewodniczący Henryk Ptak z Zabiela z wiceprzewodniczącym i skarbnikiem. Jeszcze ich nie ma. Jako czynnik społeczny pilnujemy interesów rolnika. Jest nas z kierownikiem dwie osoby na dwa województwa: łomżyńskie i ostrołęckie. Dwa razy w

miesiącu jeździmy do Augustowa na naradę. Za drugim razem bierzemy dla siebie pobory. W międzyczasie szkolimy rolników i pomagamy im w budowie suszarni.

— Przecież to robi Mazurska Wytwórnia Tytoniu Przemysłowego.

— To my tak razem. Teraz np. pomogliśmy Konopce w Małym Płocku wybudować dużą suszarnię na tytoń wirginia. Za tę pomoc Związek Plantatorów Tytoniu potrąca rolnikom przy skupie pół procenta, ale chcemy to podnieść do jednego. Zasilamy w ten sposób, po potrąceniu na delegację i pobory dla nas, skarb państwa.

— Wygląda na to, że wasza działalność dubluje się z poczynaniami Augustowskiej Wytwórni.

— Chyba nie. Ostatnio walczyliśmy z PZU, by potrącał od plantatorów pięć, a nie siedem procent na szkody. Bo jak się okazało, po wglądzie do rozliczeń PZU, za tegoroczne gradobicie instytucja ta wypłaciła jedynie 1/4 pieniędzy, potrącających rolnikom na odszkodowania.

Kierownik stacji wykupu, Wiktor Borodziuk nie ma czasu nawet się ogolić. Tyle roboty. Oddelegowano go tu z Myszyńca. Nie zna ludzi, więc mniej okazji...

— Do czego?

— Rolnicy różnie mówią, ale żaden nie chce konkretnie. Panie, między toną jedynki i dwójki różnica wynosi prawie 70 tysięcy złotych. A pomylić się można?

Gdy po kilku godzinach wracamy do Łomży, kolejka jeszcze na ulicy. W Małym Płocku, w Urzędzie Gminy kierownik służby rolnej, niby żartem, za taką sytuację w skupie obarcza inspektorów: — Wyście rozpieścili plantatorów.

Słów oburzenia inspektora Henryka Sokoła nie będę przytaczał. Wychoďte. Przed urzędem męska rozmowa. Inspektor budowlany gminy, Chaberek obiecuje, że nie da już materiałów budowlanych na suszarnię. — Od mego ojca nie skupiliście tytoniu, a papierosów nie ma.

— Chłopie, ty dalej nic nie rozumiesz — wyrokuje kierownik Kapuśniak.



PIEKIELKO PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY DIABELSKIE OBRACHUNKI

Cztery nasze znajome diabły, ob. ob. Dojlicki, Narwianski, Bużański i Biebrzański, zbaraniały już do tego stopnia, że dyskutują o dalszym rozwoju krzywizn własnych rogów oraz giętkości ogonów. Od czasu do czasu pada hasło nawołujące do jedności w obliczu utraty niepodległości oraz zachowania spokoju w obliczu w ogóle.

DOJLICKI: Koledzy! Jesteśmy najgorszym barakiem w obozie. Sąsiedzi z innych baraków nie mogą na nas polegać.

BUZAŃSKI: To niech polegają na sobie. Układy zawarte? Zawarte. Zresztą o jakim baraku mówicie. Przecież żyjemy na bagnach.

BIEBRZAŃSKI: To taka przenośnia poetycka.

BUZAŃSKI: No to ja ją przenoszę na swoje podogonie właściwe.

DOJLICKI: Cicho. Czuje jakiś nowy smrodek. Ni to woń diabelska, ni ludzka.

Zjawia się karłowaty diabełek w garniturku, krawaciku i z teczuszką w pazurach.

Dzień dobry starsi koledzy diabłowie!

ŁOMŻYŃSKI jestem. Proszę mi mówić Krasek.

NARWIAŃSKI: A czy jesteś, synu, z Kraski?

ŁOMŻYŃSKI: Jestem ze smrodliwej Łomżyczki, nazywanej przez ludzi Kraską. Pełnię funkcję diabelskiego młodzieżowca. Siedzę i do nóg padam starszym kolegom, bo jestem właściwie wychowany. Wiem, od kogo i za co mogę np. nabrać po mordzie. Jestem dyspozycyjny.

DOJLICKI: A co ty, gówniarzu, w ogóle porabiasz?

ŁOMŻYŃSKI, czyli KRASKI: Np. napędzam pełne portki strachu w

ramach akcji „Młodzieżowe echo odnowy” W ramach tej akcji patronuje wyborom w zetemespe. Doglądam organizację zebran, nadzoruję powstanie głupawych wystąpień, słowem dokładam wszelkich starań, celem ostatecznego skompromitowania tego i owego. Robię jaja jak berety.

NARWIAŃSKI: Ten gówniarz mi się podoba.

BIEBRZAŃSKI: No, zeznawaj, zeznawaj dalej, młodzieżowiec.

ŁOMŻYŃSKI: Akcja „Młodzieżowe echo odnowy” polega na wyciąganiu, a właściwie eksponowaniu, chlamu i osadu po ubiegłym sierpniu. Staram się tak sprawy kierować, żeby starych strukturalistów eksponować, dopasowywać im ubiegłoletnie garnitury, z lekką przefarbowaną. To bardzo denerwuje ludzi, a w nerwach ludzie robią głupstwa.

BUZAŃSKI: To chyba jesteś, zaszrańcu, bardzo cenną jednostką na swoim odcinku. Kto za tobą stoi?

ŁOMŻYŃSKI: Młodzieżowy departament Centrum Piekelnego.

NARWIAŃSKI: Przecież tam była rozpie... Przepraszam, jakaś afera. Podobno tylko został smród i kapcie.

ŁOMŻYŃSKI: Właśnie kapcie wzięłam sobie na pamiątkę. Smród ciągnę ze swojej rzeczki, nad której systematycznym truciem czuwać skutecznie od lat.

NARWIAŃSKI: Róbta tak dalej, kolego.

ŁOMŻYŃSKI: Mam tylko kłopoty kadrowe. Etatów jest od metra, a do czynnej działalności jakoś trudno chętnych znaleźć.

BIEBRZAŃSKI: Stosujcie stare i wypróbowane metody. Obiecanki, cacki, przywileje, dobre gaże, samochody i sekretarki, gabinety, koper-tówki itp.

ŁOMŻYŃSKI: Całuję kolegów po rękach i podogoniach. Potrzebowałem pocieszenia. Zabieram się do roboty.

Poleciał jak głupi do sera żółtego.

WIESŁAW TOMASZEWSKI

POLSKIE DUSZKI ANDRZEJA PODULKI



BENZYNOPIJ CHOMIKUJĄCY

Nalógowo pije benzynę opróżniając baki aut, stacje benzynowe. Zamieszkuje piwnice, składy, komórki, czai się w ogródkach działkowych. Jest miły i przyjacielski, chociaż czasami bywa wybuchowy.

Sennik

— przepowiednie niechybne

GRZAŚĆ W BŁOCIE

Grzać w błocie — niepowodzenie
Granaty — troski
Granica — pomyślność i zadowolenie
Gromnicę palić — nastąpi pocieszenie
Grosze zbierać — spełnienie marzeń
Gruczoły — nieszczęśliwy wypadek
Gryka — pomyślny interes
Grzać się — potrzebować pomocy
Guziki — zarobek
Gubić coś — rozwiązanie tajemnicy
Guzy otrzymywać — przybytek majątkowy
Gwiazdy jasne — korzyść i radość; blade — smutek
Gwizdanie słyszeć — smutek
Gwóźdź — dążenie do wywyższenia; wbijać — odpoczynek
Gzys — nie zrealizujesz planów
Gwałt — podstęp fałszywych przyjaciół
Haczyk — wpaść w matnię
Haftować — być w dobranym towarzystwie
Hak zobaczyć — straszną śmierć
Hałas słyszeć — radość
Handel prowadzić — dobry zysk
Handlarza widzieć — zamożność
Harfa — należy się strzec oszustów
Hańbę znosić — zjednać sobie szacunek

WILKOŁAKI

Badacz tematu, Bohdan Drozdowski, twierdzi, że Podlasie należy do regionów szczególnie chętnie nawiedzanych przez wilkołaki. Przemiana człowieka w wilka należy do ciemnych sztuk, a może być dokonana na sobie, jak też na innych osobach. Autor monografii „W kręgu upiórów i wilkołaków” przytacza popularną w północno-wschodnim regionie legendę o zamienieniu w stado wilków całego orszaku weselnego razem z panną młodą, która biegła po lesie z resztkami welonu na grzbiecie.

Znana jest również opowieść o chłopcu, który zalecał się do córki znachorki, ale z jemu wiadomych powodów ożenił się z inną. Niedoszła teściowa w akcie zemsty zamieniła niestalego zalotnika w wilkołaka. Charakterystyczne, że tak podstępem zamienieni w wilkołaki ludzie nie byli groźni dla otoczenia, a

FRASZKI CZARTEM PODSZYTE

DO ANIOŁKA

Za nimbem twoim szatan stoi.

NIEBIAŃSKIE PORZĄDKI

Swinie z ulicy na spędzie za talon zdać można będzie.

POSTULAT
PIEKŁA POSTĘPOWEGO

Niegrzeczne dzieci późnym wieczorem straszyć będziemy — telewizorem.

O BARANKU

Choć ma rogi i kopyta, niebo się o niego pyta.

Z LOTU MIOTŁY

Mieć jesteśmy w stanie piekło — na żądanie.

POKLASK

Włwat debaty, krzyknął rogaty.

EKSPERTYZA

Tylko anioł stwierdzić może: Czy to rogi, czy poroże?!

TADEUSZ CHARMUSZKO



ODPOWIEDZI NA LISTY NADESŁANE DO KABARETU

Panu podpisującemu się „Pokorny Korniszon”: — Pana wiersz pt. „Nareszcie bez cenzury” wydrukujemy w naszej gazecie po wprowadzeniu odpowiednich poprawek i niezbędnych skrótów. Wiersz będzie nosił tytuł „Nareszcie bez zakwit”, a pełny jego tekst brzmi „Błękitny śluz, rampa pusta i kupa”. Życzymy dalszych udanych utworów.

Helmutowi C. z Frankfurtu: — Nie przesyłaj na razie obrabiarek, bo wujek Prawdziwek tego nie lubi. Zawiadom wujka celnika, że na razie nie będziemy przekraczali. Mamy ciężką sytuację rodzinną.

Wasyłowi Iwanowiczowi Sé.: — Nu, my toż nie znamy.

Panu hrabiemu Apoloniuszowi K. P.: — Jeszcze nie teraz, proszę dalej ukrywać się i czekać. Kto wie, może to już niedługo.

Maciejowi Sz.: — Zbieżność nazwisk i imion jest całkowicie przypadkowa, a dolary radzimy ukryć lub oddać na CZD

Zmartwionej: — To pięknie być matką. Sami byśmy chcieli.

Zmartwionemu: — Dziewczyna znajduje się na pewno, ale wątpimy, czy razem z nią znajdzie się pański telewizor.

Zastępcy członka zastępcy członka z Maciejowic: — Niech się pan nie martwi, że zwierzył się pan knurowi. On pana nie wyda. A pan jego?

Dużej Loli z Bydgoszczy: — Nie mamy tyle pieniędzy, zresztą tego się przecież nie da listownie.

Oburzonym pracownikom Fabryki Dziurek od Kluczy i Różnych Innych Dziurek: — Kategorycznie dementujemy plotkę, jakoby „Szybki Nick” występujący w serialu „Dick Turpin” miał cokolwiek wspólnego z Najwyższą Izłą Kontroli.

Załodze IV zmiany kopalni „Kuśmider”: — Podobna nam się wasz postulat. Też chcielibyśmy temu panu wp... powiedzieć do słuchu!

GRZEGORZ KACZMAREK

POKUSY

Andrzeja Koziary

POKUSY

pod redakcją

POKUSY

organ samoistny

POKUSY

Opr. A.K.